



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 8 sierpnia 1954 r.

Nr 32 (228) Rok V

JERZY PIÓRKOWSKI

W Y M A R S Z

I oto dzień wymarszu, dzień kapitulacji każdego z nas. Wychodzimy z dogorywającej pod cichym, ogromnym pożarem Warszawy. Umilkły huk dział i gwizdy samolotów. Panuje dziwna cisza. Dział to nieco deprimujące, ale tylko z początku, przez chwilę. Każdy z nas bowiem wynosi ze sobą zdobycz, o jakiej nie marzył jeszcze przed kilkoma dniami, kiedy wydawała się równie nieosiągalna jak gwiazda polarna, a mianowicie: własne zachowanie na jutro życie. Życie, które gwarantują gotyckie generalskie podpisy na akcie kapitulacji i przyłożona obok wielka pieczęć z „wroną” — trzymającą w szponach hitlerowską swastykę. Po raz pierwszy nauczono nas, że należy wierzyć niezłomnie w ważność i słuszność tych urzędowych symboli Trzeciej Rzeszy i jej tonącego jak dziurawa łódź Wehrmachtu. Robimy to teraz z lekkim sercem. Dogadza to nam bardzo. Poza tym każdy z nas nieledwie — ma oszalałą głowę. Przez nas trwały przygotowania, aby wystąpić w pełnej gali, ze wszystkimi świeżo przyznanymi dystynkcjami i odznaczeniami. Cała białoczerwona flaga zwisająca nad naszą kwatery poszła na bereki do Krzyża Walecznych. Sam możnolnie i starannie uformowałem dla siebie i „Homera” ze srebrnej blachy papierosnicy po dwie piękne podporucznikowskie gwiazdki. Kolebią się one teraz na moich ramionach zwycięsko i dumnie — niewątpliwa nagroda i uznanie za wyłaną krew i poniesione trudy. Poza tym w kieszeni każdego z nas szeleści odprawa: dolary — oliwkowe papierki ze znakiem państwowym dalekiego mocarstwa.

Z początku nie bardzo kwapiłem się do ich odbioru, ale „Homer”, który nie stracił do mnie serca po awanturze z „Mustangiem” a owszem poważał nawet więcej, zmusił wprost do ich przyjęcia.

Tłumaczyłem mu jak mogłem swoje racje: — Nie po to walczyłem, nie dlatego krwawiłem, „Homer”. Nie w ten sposób kwituję takie długi. A to przecież wygląda na zwykłą „dołę” i dlatego jest dla mnie obraza — i już. Czy naprawdę tego nie rozumiesz? Spytaj się innych, niech oni powiedzą szczerze, co o tym sądzą.

„Homer” perswadował mi łagodnie jak oczekuje. Chodził on w swoim życiu przez pewien okres do szkoły handlowej i znał się nieco na

tym. — Nie uznajesz dolarów? Nieśtety chłopie — złotych rubli nam nie przydzielili. Ale, kto wie, czy będzie wyższy kurs? A poza tym — jesteś głupim, ślepym szczeniakiem, „Katylin”. Zrozum wreszcie, że powracamy do normalnego świata, gdzie prawo wartości działa ze starą, ogromną siłą. Masz swoje żale? A któż ich nie ma! Ale schowaj to teraz wszystko głęboko do własnej kieszeni. Jeśli będziesz miał ochotę co wyciągać — to wyciągać po wojnie. A do tego także trzeba najpierw koniecznie jednej rzeczy: trzeźwo przeżyć. Miałeś jak każdy głupiec cholernie szczęście: nie zarobiłeś „w czapę”. Chodzisz co prawda usmarowany bandażami jak mąka — ale to tylko bojowo wygląda. Chcesz zdechnąć z głodu? Kiepska śmierć, mówię tobie, choć trudna: tylko robitek z wyprawy podbiegunowej potrafi to zrobić. Ale ty ze swoimi skrupułami możesz dokonać tego i pod ojczyzną wierzbą. Nie bądź jednak głupi, „Katylin”.

Przekonał mnie. Przestałem być głupi. Zgarnąłem bez słowa należne mi papierki i ukryłem w woreczku na piersi. Owinałem w ten szeleszczący, zadrukowany papier pozłocisty ryngraf Częstochowskiej, który jeszcze w domu dostawałem na powstanie. Służknałem śliną przez zęby: — Na zdrowie.

Potem zaraz wyszliśmy po raz ostatni na naszą ulicę zasłaną gęsto odłamkami pocisków, gruzem, czerwonym usypiskiem cegieł z porożbitych murów. Leży pod nimi sporo z moich przyjaciół, towarzyszy broni. Pozostało nas wszak z całej kompanii ledwie dziesięciu. Niekiedy z walizkami, pękato wypchanymi plecakami, różnobarwnymi kocami. I ja nawet urwałem kawał prześcieradła i zmieniłem sobie temblak. Jest teraz czystutki, wprost śnieżnobiały. Niech wiedzą Szkozy, że do końca trzymamy fason! Wyglądamy więc w końcu trochę dziwnie, jak wycieczka szubaków wracająca z dobrze spędzonej, niedzielnej majówki. Po raz ostatni patrzymy na naszą barykadę. Piętrzy się zwaliska, niezdobyta, wspaniała. W swej brzydocie i nieregularności jak lawa wytrysła z powstańczego wulkanu i tak zastęła. Nie daly jej rady „stukaszy”, ogień, miny. Broniło jej wielu ludzi. Wiele ludzi ją pokochało, a potem zniechęciło do beznaędziej miłości. Dzisiaj pozostanie na zawsze za nami. Opuuszczona, cicha i bezbronna.

— Formuj się, formuj się, co jest

do jasnej cholery, denerwuje się „Homer” pędząc z jednego końca wąskiego szeregu w drugi.

— Wszyscy są? Broń jest? Broń... „Czarna Ręka” nie śmiała nawet strzelić ze swojej z takim tru-

nym trudem się zdobywało — niełatwo znowu oddawać w łapy wroga. Więc ludzą się do końca, że może się jeszcze odmienni, że może zachowają jakimś cudem tę stal. Ale ja nie łudzę się ani przez chwilę.



Linoryt. T. Kubalski

dem ukradzionej pepeski, w obawie przed „Homerem”. Pozostała więc tam, gdzieśmy ją ukryli. Mój pistolek rozkalibrował się do reszty. Nie będzie miał wroga z niego wielkiej pociechy. Ale inni dźwigają do końca te resztki, śmieszne resztki śmiesznego uzbrojenia. Rozumiem ich dobrze: co z takim boles-

Mam suche oczy i sprawnie wykonuję rozkaz „Homera” choć teraz, kiedy raz na zawsze skończyła się ta walka, czuję dopiero jak jestem słaby. Nie człowiek właściwie, lecz umięśniony miśkisz, łachman. Ale teraz nie można sobie pozwolić na całkowite okłapienie. Przez kilka godzin jeszcze trzeba zdobyć się na

sporo sił — aby móc godnie spojrzeć w twarz śmiertelnemu wrogowi. Czuję przed tą chwilą narastający niepokój. To samo zresztą nurtuje po cichu wszystkich moich towarzyszy dookoła. Dlatego też i „Homer” bez potrzeby gania wzdłuż naszej kolumnki, która zwolna wdraża się na pierwsze gniazdo wdrapując się na barykadę usypisko gruzów. Idziemy w milczeniu, z tyłu ogrzewa mi kark ciężki oddech „Czarnej Ręki”. Tylko od czasu do czasu zadzwoni broń, tylko zachroboczą o czerwony, jakby żywy dzisiaj miąższ cegieł — nasze gęsto podkute gwoździemi zdobyczne buty. Tak bez przesady, teraz dopiero pocynam sobie zdawać sprawę ze wszystkiego, kiedy idę patrząc tylko przed siebie, a obok mnie, po lewej i prawej idą coraz gęściej, w milczeniu obcy ludzie. Idą z tobołkami, z dziećmi, z całym ocalałym dobytkiem, który niekiedy można zebrać doprawdy w jedną pięść. Nieczuli na szcęk naszej powstańczej broni, nieczuli na urodę jesiennej, spowitego w łagodną czerwien dni. Nie chcą się spotkać ze wzrokiem tych dzieci, starców, ojców i matek, świeżo upieczony i buńczuczny podporucznik czasu wojny, mianowany ostatnim rozkazem — aby pójść do Ofłagu na lepsze żarcie i pewniejszy dach nad głową. Ja, który niedawno jeszcze w najgłębszym tłumie tych ludzi czulem się bezpiecznie jak partyzant w głębi lasu.

Teraz po prostu obawiam się tych niepozornych, płynących coraz większym strumieniem szarych ludzi. Obawiam się ich pytającego, i dlatego strasznego spojrzenia, na które nie potrafię ani nie umiem odpowiedzieć: — Dlaczego to wszystko się tak skończyło? Co będzie z nami?

Nie wiem, czy będę na to mógł kiedykolwiek z czystym sumieniem odpowiedzieć. Czy przeżyję kogokolwiek z nich? Jestem co prawda uznany za wojennego kombatanę wielkich mocarstw. Mam gwiazdkę oficera na pagonie, którą zobowiązał się respektować generał von dem Bach. A więc glejł bezpieczeństwo od dwóch wojujących stron. Kiedy to uzmysławiam sobie, czuję się głupio, coraz głupiej i mam po prostu ochotę czmychnąć z szeregu, spod spojrzeń mijającego nas tłumy. „Homer” wyczuwa ten nastrój, bo odwraca ku nam twarz, do której przypieł się błady, raczej pozerski aniżeli junacki uśmiech.

— Chłopcy, zaśpiewamy coś na

pożegnanie. Może „Warszawskie dzieci”?

Odpowiada mu powszechne milczenie. Nikt z nas nie unosi nawet głowy, nie próbuje dobyć głosu. „Homer” macha więc z rezygnacją ręką i zaszepiony przyspiesza kroku.

Słychać znowu jego niepotrzebne

calkiem słowa komendy.

— Lewa, lewa, lewa...

Z boku, wprost na nas wychodzi

grupa uzbrojonych ludzi. Jest ich

niewiele. Ale idą śmiało, w kierunku

barykady, którą przed chwilą opuściliśmy. Przyglądam się ciekawie. Na przedzie kroczy wielki poczerwiał dym. Tylko twarz ma jasną, aż cytrynową ze zmęczenia.

Odziany jest w granatowy oficer, załuszczone kombinizon roboczy, Zaraz widać jednak, że ów kombinizon nie jest jak to u nas bywało — wyfasowany dopiero na powstanie, że to jego roboczy strój. Ręce aż do łokcia spowijają mu bandaż. Pewnie więc są poparzone. Nad ramieniem sterczy świecący jasno bagnet zatknięty na lufie starego, wrzesniowego jeszcze Mauzera. A na nim pierwszy wiatr jesieni aż wzdyma czerwony, wąski skrawek płótna, który co chwila zwija się, faluje, nieledwie tańczy na pochmurnym niebie jak płomyk w czeluściach pieca. Patrzę na to przeciągle, z rosnącym zdziwieniem. — Gdzież oni pobłądzili, u licha. Przecież to nie tędy droga na punkt koncentracji. Chłopcy za nim idą, jak i my gęsiego.

Są pogarbeni ze zmęczenia i chmurni. Tylko broń ciągle trzymają w pogotowiu jakby byli już w nieprzyjacielskim kraju.

„Homer” zżymał się:

— To pewnie Aelowcy. Słyszałem, że nie chcą dać się rozbroić i idą przez Wisłę. To pewna śmierć.

— Przez Wisłę? — powtórzyłem w zdumieniu — do tamtych?

— Tak, do nich... Może zresztą i mają sporo racji...

— Dlaczego?

— Niemcy są na nich cięci. Mogą rozwałać...

Znowu spuściłem oczy. Znowu zrobiło mi się czegoś wstyd. Tak mało już rozumiałem ze świata, co mnie wokół otaczał...

— Podporucznik „Katylin”, do szeregu, do jasnej cholery. Nie mamy czasu na sentymenty, to nie wiosna! Tam już pewnie na nas czekają. Ale już!

Zaraz poderwałem się służbiście, zaraz trząsnąłem obcasami.

(Dalszy ciąg na str. 4)

RYSZARD MATUSZEWSKI

Studia o Prusie i Żeromskim



Henryk Markiewicz

Studia historyczno-literackie Henryka Markiewicza stanowią pod jednym względem pozycję godną szczególnej uwagi na tle naszej literackiej esesistykii naukowo-krytycznej. Autor ich jest niewątpliwie najwybitniejszym przedstawicielem tego pokolenia młodych historyków literatury, którzy pracami swymi zadebiutowali już w Polsce Ludowej. Stwierdzenie zjawiska prawdziwego talentu w dziedzinie badań historyczno-literackich jest na pewno trudniejsze niż w dziedzinie twórczości oryginalnej: współczesnik wkładu pracy przygotowawczej, choć niezbyt z pewnością także w każdym innym zakresie działalności pisarskiej odgrywa tu rolę wyjątkowo ważną. Cały dotychczasowy dorobek twórczy Markiewicza knie widzieć w jego osobie połączenie tych dwóch cennych przymiotów badacza literatury: połączenie specyficznych uzdolnień konceptualnych z niezwykle sumiennym przygotowaniem

naukowym, mogącym służyć za wzór i przykład dla całej naszej młodej, i nie tylko młodej krytyki.

Operuję tu w sposób zamienny terminem krytyka i historyka literatury; bo dziedziny te nie dadzą się od siebie ściśle oddzielić. W praktyce istnieje tutaj oczywiście pewien „podział pracy”, a także pewien podział typu uzdolnień. Czego innego wymaga się od piszącego o Biernacie z Lublina, a czego innego od autora recenzji o Kruczkowskim czy Newerlym. Wydaje się jednak, że tak, jak bezpośrednio po wojnie włożono wiele pasji w wyjaśnienie skostniałym w rutynie profesorom polonistyki, że nawet badania nad staropolszczyzną niewiele są warte, gdy nie towarzyszy im ogólny, słuszny pogląd na świat i całokształt zjawisk literackich, tak dziś — obowiązkiem naszym jest zaakcentowanie faktu, że głębsze pojmowanie krytyki utworów współczesnych nie da się pomyśleć bez poważniejszych studiów nad ich literackim zapleczem. Stąd ogromne, nieprzecenne znaczenie prac takich krytyków i badaczy jak Markiewicz, dających wyraz jasnemu i określonym poglądom, na zadania literatury współczesnej, a zarazem oddanych z rzetelnym studium nad twórczością naszych klasyków w oparciu o gruntowną i twórczo rozwijaną wiedzę teoretyczno-literacką.

Studium o „Realizmie krytycznym Bolesława Prusa”, pionierskie, jedyna tego typu nie tylko u nas, ale i w innych krajach demokracji ludowej praca „O marksistowskiej teorii literatury”, dwa interesujące opracowania tekstów, źródeł i materiałów dotyczących klasycznych pozycji naszej literatury — „Lalki” i „Przedwiośnia”, wreszcie ostatni wydany zbiór rozpraw o Prusie i Żeromskim — oto wykaz prac książkowych Markiewicza, który przypomina nam tu m. in. dlatego, że jednym z poważniejszych zaniedbań „Nowej Kultury” jest nieomówienie dotąd zad-

nej z tych książek. Duży, pracowity dorobek najaktywniejszego z młodych badaczy naszej literatury, jednego z laureatów przyznanej w r. 1951 Instytutowi Badań Literackich nagrody państwowej, nie doczekał się w ciągu paru lat ostatnich recenzji w naszym piśmie.

Tymczasem szkice Markiewicza „O marksistowskiej teorii literatury”, szkice na temat niesłyszanych trudnych i odpowiedzialnych, ukazywały się już w dwu wydaniach i spełniały funkcję publikacji po prostu zastępczej dla każdego krytyka, pedagoga i studenta humanistyki, jako próba systematyzacji najogólniejszych pojęć z zakresu marksistowskiej estetyki, źródło informacji o wskazaniach klasyków marksizmu i o ustaleniach nauki radzieckiej w tej dziedzinie, oraz jako szeroki, starannie dobrany przewodnik bibliograficzny przedmiotu. Wspominając ogólnie tylko o tej książce, pokreślić należy, że zwraca w niej uwagę jedna zasadnicza właściwość wszystkich publikacji Markiewicza: ogromna skrupulatność, dbałość o precyzję sformułowań i ścisłość informacji. Wskazują one na to, że autor książki jest wyjątkowo u nas rzadkim typem krytyka — naukowca o wyraźnym zacięciu teoretycznym, choć — z drugiej strony — zdaje się nie ulegać wątpliwości, że szkice „O marksistowskiej teorii literatury”, które jak wynika z przedmowy do I wydania książki — zrodziła potrzeba praktyczna, cykl wykładów dla nauczycieli, są w pracy naukowej Markiewicza raczej marginesem. Konieczność systematyzacji pewnych zagadnień teoretycznych wyłoniła się w jego pracy właśnie jako rezultat sumiennego traktowania badań w dziedzinie praktycznej: rozległych studiów nad historią literatury drugiej połowy XIX i początków XX wieku, stanowiących jak dotąd centralny krag zainteresowań autora. Wszystkie pozostałe jego książki skupiają się wokół postaci dwu wielkich pisarzy

tego okresu — Bolesława Prusa i Stefana Żeromskiego.

I znów podkreślić trzeba, że wybór tej właśnie epoki i postaci tych dwu pisarzy jako obiektu badań ma dziś dla nas szczególne znaczenie. W dyskusji postulującej już u progu dwudziestolecia zwrot do realizmu w literaturze jako jedno z pierwszych stanęło zagadnienie ustosunkowania się do spuścizny klasyków naszej powieści realistycznej. Problem marksistowskiej oceny dzieł Prusa pierwszy postawił Kott w swojej książce o „Lalce” (1948). Pierwszą gruntowniejszą próbę oceny dzieł Żeromskiego dał Instytut Badań Literackich w pracy zbiorowej, wydanej z okazji 25 rocznicy śmierci pisarza („Stefan Żeromski”, „Czytelnik”, 1951, tom rozpraw krytycznych pod red. E. Korzeniewskiej). Markiewicz był w tej pracy autorem dwu rozpraw: „O Przedwiośniu” i „Stefan Żeromski wobec rewolucji 1905 r.”. W latach następnych on właśnie okazał się badaczem, który studium nad twórczością Żeromskiego i Prusa poświęcił się w sposób najbardziej systematyczny. W roku bieżącym ukazały się dwie jego prace z tego zakresu.

Jedną z nich „Przedwiośnie St. Żeromskiego”) ma charakter popularno-dydaktyczny i jeśli wspomniemy tutaj o niej to dlatego, że będąc drugą publikacją tego typu opracowaną przez Markiewicza (pierwsza analogiczna dotyczyła „Lalki” Prusa) stanowi ciekawy typ wydawnictwa, rodzaj wyczerpującej antologii historycznych i literackich materiałów dotyczących omawianej książki, poprzedzonej wstępną rozprawą autora. Znalazły się tu więc materiały stanowiące tło historyczne powstania „Przedwiośnia” (wyciągi z pism Lenina i Stalina), korespondencja Marchlewskiego z Żeromskim, Manifest II Zjazdu KPRP,

*) H. Markiewicz: Przedwiośnie St. Żeromskiego. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1954 r., str. 296.

list otwarty w sprawie białego terroru w Polsce, dalej — wyjątki z pism Żeromskiego, stanowiące ideową drogę do „Przedwiośnia” oraz fragmenty powojennej publicystyki pisarza, wreszcie ciekawe głosy krytyki o „Przedwiośniu”, z okresu dwudziestolecia i współczesne, oraz antologia utworów poetyckich i fragmentów prozy mówiących o tradycjach Żeromskiego i „Przedwiośnia” w literaturze polskiej. Mamy tu więc m. in. z krytyki — głosy J. Bruna - Bronowicza, Fika, Kruczkowskiego, Wyki i Kotta, utwory poetyckie — Staffa, Słonimskiego, Broniewskiego, Jastruna, fragmenty prozy Dąbrowskiej, Wasilewskiej, Newerlego i in. Antologia tego typu stanowi niewątpliwie doskonałą pomoc naukową dla studenta, wprowadza w atmosferę dzieła i epoki i warto by może pomyśleć o podobnych opracowaniach innych dzieł klasyków naszej literatury.

Nierównie większą wagę posiada druga tegoroczna publikacja książkowa Markiewicza, zbiór szkiców i rozpraw o Prusie i Żeromskim**), stanowiący pierwsze łączne wydanie prac krytyka znanych już czytelnikowi ze wspomnianego tomu zbiorowego lub publikowanych jako studium o poszczególnych dziełach Prusa i Żeromskiego, przeważnie zresztą na nowo przez autora prze-

**) H. Markiewicz: Prus i Żeromski i szkice literackie. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954 r., str. 362.

Numer następny naszego tygodnika ukaże się w zwiększonej objętości 12 stron i poświęcony będzie zagadnieniu kultury i literatury Demokratycznych Niemiec.

Na treść tego numeru złożyły się artykuły i utwory najwybitniejszych pisarzy niemieckich: Bechera, Brechta, Kirsta, Seghers, Uhse i innych.

(Dokończenie na str. 3)

Pisarze wobec dziesięciolecia

Władysław Machejek:



Pierwsze słowa w gazecie podpisane moim nazwiskiem zobaczyłem w r. 1934. Uczęszczałem wtedy do siódmego oddziału szkoły powszechnej. Nauczyciel języka polskiego, przeczytawszy ten mój artykułik sprawozdawczy z jakiegos wiciu chłopskiego, poprobowal dowcipu i powiedział tonem „proroka”: „już widzę cie ministrem... Może kiedyś będę potrzebował twojego poparcia, zgłoszę się do Warszawy i z drzeniem pomyślę w poczekalni, czy sobie mnie przypomnisz. Wyjdiesz, poznasz, podasz gładką dłoń, a ja będę opowiadał wstępnym, że ścisnął rękę ministra...”

Życie niewątpliwie pchało mnie naprzód — przyszło wyzwolenie, rewolucyjne przemiany sprzyjały wszelkim awansom, ale zanim to nastąpiło — już zainteresowania moje minęły się z „prorocztwami” owego nauczyciela. Słowo drukowane wydawało mi się ustokrotnionym trybunem, w przekonaniu tym utwierdziła mnie pochwała okręgowca KZMP, który przeczytał moje elaboraty w „Nowej Wsi” (r. 1936). Pisałem „rzeczy” polityczno — społeczne, później wiersze. Nic z tych wierszy nie zostało prócz wzruszenia, gdy w nie dawno — równo przepisane w zeszytach — odrzebał w rupietach na strychu. Był w nich taki niebieszyny wzlot niewypowiedzianych tęsknot, że przewyższając wszystkie marzenia o niezrozumiałości. Chyba z tego okresu wywodzą się ciagoty do metafor, które nie ułatwiają mi bynajmniej życia, z czego zdaje sobie sprawę, a przemycam je z cichą nadzieją na łaskę wydawcy.

Silnie trzymałem się ziemi w czasie okupacji, kiedy obowiązki redagowania pisma Okręgu PPR „Głos Miechowa” i w ogóle sytuacja uczyły tak konkretnego myślenia jak

komunikaty i wstępniaczki. Kształciła się komunikatywna ilustracyjność. Ten zmysł znacznie się w mnie rozwinął w latach (1946 — 1950) redagowania „Głosu Pracy” (tygodnika krakowskiego KW PPR), „Echa Krakowa” i pracy w „Gazecie krakowskiej”. Nieświadomej metodzie ilustracyjności sprzyjała atmosfera, w której żyłem poprzednio i którą całymi fragmentami malowałem w pierwszych po wojnie utworach pióra. (W wierszach byłem niecierpliwy, bieglem wyżej, dalej...) Była to atmosfera ogólnonarodowym, ogólnopolitycznym i osobistym jednoczeniem. Notatki rzucały na karteczki w lesie o walce i partyzantach AL oglądzone i rozszerzone po wojnie (obojetne jaką by formę przyjęły) byłyby na pewno tylko ilustracją lat zmagań, ale ciężar tematyki równał się najgłębszym problemom i nikt w takich wypadkach nie zarzucał ilustracyjności. Notatki te... zjadłem lub porzuciłem zwinęte w kuleczki po krzakach w drodze do niewoli w brygadzie świętokrzyskiej „Bohuna” (NSZ). Po prostu chciałem w czasie przesłuchania uchodzić za prostaka, co łatwo udawało się, bo panowie sędziowie w NSZ z góry przyjmowali, że w AL mogli się znaleźć tylko „chamy”.

Powieść „Chłopy z lasu” to źle publikowane strzępy wspomnień pisane w ciągu jednego miesiąca i wydawane przez 4 lata.

Tak samo ilustracji mojej pracy partyjnej pod obstrzałem band w 1945 r. w nowotarskim zawartej w „Pamiętniku sekretarza” nie obciążał zarzut ilustracyjności. Zarzut taki nie chyłta tam, gdzie mamy do czynienia z wielką historią, w której biorą udział setki i miliony ludzi bez różnicy wieku i zawodu.

I ani się spostrzegłem, kiedy ilustracja, nawet najbardziej dramatycznie i „konfliktowo” wyrażona stała się formą statyczną, niewystarczającą do budzenia wrażliwości narodu i poszerzającego czytelnika. Wlokę się wraz z innymi w ogonie przemian, taki mały piórnym wplecionym w ogień.

Jak to rozumiem? Oddawsy niedawno wydawnictwu II tom cyklu „Dziesięć chłopów” (do którego panoramę historyczną stworzył „Żywy Ogień”) zabrałem się do przebiegania materiałów dotyczących konieczności przebudowy gospodarki rolnej. Tysiące szczegółów, setki stron, dziesiątki postaci... Obfitość dekomponuje mi cały zamysł, spiętnowane wydarzenia, dramatyczne i wzniecone, przytaczają mnie, wytracają pióro. Do tego — codziennie przybawiają nowe, po-

neżne szczegóły. Częściowo wyzbylem się materiału mieszcząc go w zbiorze publicystycznych reportaży pt. „Głęboka orka” (Wydawnictwo Literackie, Kraków). W sterle zapisanego papieru trochę się „rozwidniło”. Ale gdy przystępuję po raz pierwszy do dzieła, łapię się na tym, że dam ilustrację może o największym napięciu dramatycznym, które wystarczy dla krytyka zarazem za życie osobiste części z występujących tam bohaterów — ale poza tym niewiele powiem. Możliwe, iż to wystarczy, by powieść nie była fałszywym wypełnieniem, że w konsekwencji, żeby nie była blaha — jednak chciałoby się zawrzeć w temacie maksymalnie osiągalną wartość. Zawrzeć — a więc i wydebić z tego tematu wartości poznawcze, w konsekwencji służące milionom bohaterów odpowiedzialni: oto taki jesteś, sam tańce przed sobą, teraz tak rób, partia woła...

Podam na chybił-trafił przykłady tajemnic, czekających na rozwikłanie: Dlaczego z dwóch sąsiadów, jednakowo zamożnych, jeden przystępuje do spółdzielni, a drugi nie. Nie zawsze za tym „nie” dopatruję się roboty wroga. (A umysł mój w takich wypadkach pracuje niczym wywiad). Dlaczego ktoś, kto cennie przystąpił do spółdzielni, później pracuje w spółdzielni jakby był chory. (Nie, winy zarządu nie dostrzegam). Dlaczego dobry członek spółdzielni (dobry — w świetle statutu spółdzielni) zarobiwszy kilkanaście tysięcy złotych rocznie, nadwyżkę ułokował w kupnie budulca na stodołę, chociaż czyni swoimi podkreśla, że przekonan, jest o nieodwracalności rewolucji na wsi i klęsce imperialistów, gdyby ci pokusili się o zmianę ustroju w Polsce. Dlaczego... Pytań nierozstrzygniętych jest dziesiątki.

Często rozstrzygamy. I najczęściej strzelamy, nie nabijając... Pod tezy. A przecież tezy nie mają chyba zadania zastąpić poszukiwań pisarza, przeciwnie — tezy tylko nadają kierunek, a pisarz powinien też coś mieć do powiedzenia partii. Takie już stare to marzenie, żeby wybiegać myślą przed wydarzenia — a my wybiegamy myślą na spotkanie wydawnictw, które zresztą temu niewiele winne lub o tyle winne, że nadgorliwie się „ustawili”. Wybiegać — to chyba przede wszystkim szturmować w głąb — co się w mózgu ludzkim, w sercu ludzkim tli niewypowiedziane do końca, a co decyduje lub zadecyduje o losach jednostki, a nawet całych zbiorowości.

(Dokończenie na str. 7)



Miałem czternaście lat, kiedy znajomy czeładnik ciesielski podarował mi rozsypaną się po półkach broszurę, prezent, który nie pozostał bez wpływu na moją przyszłą drogę życiową. Wielka książeczka pachniała świeżą sośniną, na postrzępionej kartce tytułowej ledwo mogłem odczytać nazwisko autora i tytuł broszury: „Karol Marks. Krytyka programu Gotałskiego”...

Za Huczwą, na skraju miasteczka stał rzędem gotowe, szybko z belek i desek sklejone domki — arcydzieła ciesielskiej roboty, które nie mogły się doczekać nabywców. Tymczasem zamieszkał w nich przez nikogo nie krepowany kos, śpiewak znakomity, pierwszy mój nauczyciel poezji i pierwszy zarazem świadek mojej ideowej ewolucji. Jacy to będą ludzie pięknego nachodzącego społeczeństwa, o którym mowa w broszurze?... Chyba rośli i barczyści, jak cieśle błyskający toporami, zakochani w swoim rzemiośle budowniczym! Ale muszą to być ludzie syści. Oczywiście. Głodnemu praca idzie nierzadko... W ciesielskich wódrach ukryty kos był świadkiem pierwszych przebiegów świadomości o nie dającej się pogodzić sprawie bogatych i sprawie nędzarzy. W broszurze przeżuwałem wielką ciesielkę, dzieło przebudowy świata, której dokonają wolni od wyzysku i poniżenia prawdziwi ludzie. Broszura uczyła marzyć.

Niebawem znikł z miasteczka znajomy czeładnik ciesielski, z nim syn kowala z Zamłynia i młody intrygator, w którym wzebrała gorzka, buntownicza wiedza. Na pola Estramadury szli więc do ciesielskiej i farnalskiej doł; u boku górników Rio i metalowców Madrytu

szturmowali zniechodzony kapitalizm.

Wyobraźcie sobie krzywy zautek, domki ze zmuszonymi okiennicami, uliczkę, nad którą zaledwie siedem świeci gwiazdek, ogród, w którym zaledwie siedem liści — czymże tedy byłby świat dzieciństwa bez owej wielkiej zapalającej wyobraźni idei? Wiem, że bez niej nie zapaliłaby się i moja wyobraźnia. Nie pisałbym wierszy...

Przyjdzie czas, a słowo zahaczy, zadzwoni o słowo, wykrzeszę je z najwcześniejszych tęsknot i przeżyję. Przyjdzie czas niepowtarzalnego i rozstrzygającego doświadczenia.

Powtarza się natrętna ciesielska obsesja, z którą borykam się jeszcze dzisiaj.

„Szumi dokoła las.
Czy to zjawia czy sen...
Szumi, szumi Oka
jak Wisła szeroka,
jak Wisła — — — — —

Ciełka bela sosenowa wrzyna się w ramie. Odbłask jej załamuje się w zielonej pokrywce lodowej wielkiej rzeki. Nad wielką obcą rzeką nastąpiło i moje pojednanie z daleką modrą rzeką ojczystą, która długo była rzeką łez i krzywd. Trzeba było podźwignąć ciężar sieleckiej sosny, by poczuć się gospodarzem swego kraju, który majaczył w żołnierskiej wizji. Idzie nowa ciesielska rzecz. W sieleckim piachu budujemy dom. Trzeszczą gałęzie sosnowe w piecykach, schną żołnierskie onuce. Wkrótce zacznie się długi uciążliwy pochód — do Polski.

Za oknami pociągu bieleją ośnieżone gruzi Tuli, Woroneża, Charkowa.

„Dobrze ci jest moja miła
białe orły wy-szy-wać...”

Kołacz żołnierska piosenka, zaciera ją jej słowa, wykrusza ją się z rytmu, melodii. Podstawiam w zamian słowa własne, bliższe żołnierskiemu przeżyciu. Powstaje wiersz o gruzach Woroneża, na które nakłada się wizja warszawskich rumowisk...

Oto dzieło poetyckiego debiutu. Dzięki naiwnemu wierszowi żołnierskiemu zaawansowałem powieć pułkowych perypetiach na frontowego korespondenta. W później nieco napisane „Balladzie o polowej drukarni” starałem się odwzorować obraz koczującej za frontem bojowej dywizyjnej gazetki, która pasowała mnie na poetę. Inspekcyjne wypadki do jednostek, odwiediny w taborach i kuchniach żołnierskich, rozmowy z żołnierzami i oficerami — oto tematy fronto-

wych reportaży, które z czasem zaczęły się rymować.

Nie mogłem, oczywiście, znać jeszcze wtedy pracy Ważyka o zasadach narodowej wersyfikacji, toteż wiele można było zarzucić tym moim wierszom... Rozprawił się z nimi kompanijny kucharz, który wykradał mi je z plecaka, nie wiadomo w jakim celu... Niektóre wiersze ukazały się na szpaltach „Do boju”. Tam, gdzie nie docierały jeszcze dojrzałe wiersze Ważyka i Szenwala, Putramenta czy Pasternaka, musiały starczyć moje mniej udolne poetyckie pierwociny lub tego towarzysza frontowego — Krzysztofa Gruszczyńskiego...

Chwile się ciężki redakcyjny wóz po wyboistej chłopskiej szosie, rozspujają się czcionki, które na nowo trzeba układać w kasztach. Z nami jedzie Manifest Lipcowy... Oto Lublin mający w porannej mgłę. Dziewczęta na drogach witały nas najtkliwszym uśmiechem. Powywracane czolgi wroga, poskręcane gasienice, szaruga na polach. Na czele niewielkiego oddziału ciągnącego za sobą modzierz, idzie zamyślony kapitan. Wyciągam notesik korespondenta. Kapitan nie zdradza ochoty do rozmów. Patrzę na jego smagłą, ogorzałą twarz, na posiwiałą skron: Michai!...

Czeładnik ciesielski na czele oddziału ludowych wojsk. W uszach rozdzwonił się kos, zachłystuje się śpiewem. Czy to słowik zaklął w krzewie za rozbitym faszyzowskim czołgiem? Snuje się nie napisana ballada o „Programie Gotałskim”, chodzi za mną lubelska szosa. Gdzie Rzym a gdzie Krym, gdzie Lublin a gdzie Gotha?...

*

Można by było napisać głęboką, w ibłowską precyzję wyposażoną rozprawę o jedności ideologii i wzruszenia, o roli pierwszostwa ideologicznego w kształtowaniu twórczości. Jako niedoszły absolwent filozofii nie gardzę dyskursywnym myśleniem. Z filozofią rozstałem się, musiałem się rozstać, choćby dlatego, by zaoszczędzić prof. Adama Schaffowi konieczności przekładania na język filozoficzny moich niebystro dyscyplinowanych seminarialnych wypowiedzi. Nie potrafię także z całą wiedzą określić, jaki jest mój wkład do naszej literatury. Wiem tylko jedno. Jeśli udało mi się w ciągu dziesięciu lat napisać choć kilka prawdziwych zwrotek, to konia z rzędem krytykowi, który rozsupla ten supel, jaki zaciągnęłam z ideologii i wzruszenia. Może to nieskromne, lecz trudno

(Dokończenie na str. 7)

Studia o Prusie i Żeromskim

(Dokończenie ze str. 1)

z historyczną rzeczywistością epoki obrazowanej, a pominięcie niemal zupełnie innych zagadnień np. problemów formy artystycznej utworu. Podobny charakter, skupiający uwagę czytelnika przede wszystkim na centralnej problematyce dzieła, ma najbardziej chyba znane, wielokrotnie już publikowane studium Markiewicz o „Przedwiośniu”. Powstałe jeszcze w r. 1944, od tego czasu parę razy uzupełniane i korygowane w szczegółach, daje ono najwnikliwszą i najślusniejszą ideologiczną interpretację ostatniego dzieła wielkiego pisarza, konfrontuje je jego problematykę z rzeczywistością historyczną lat, których powieść dotyczy, ukazuje proces wielkiej ideowej rozterki Żeromskiego po powstaniu Polski międzywojennej, przedstawia dzieje społecznej recepcji utworu w chwili jego pojawiania się, we właściwy sposób określa jego znaczenie na tle współczesnej mu literatury. Jest rzeczą niewątpliwą, że sam na wskroś ideologiczny i polityczny charakter problematyki utworu musiał narzucić w danym wypadku badawcy taki właśnie sposób jego potraktowania. Trudno wyobrazić sobie, aby np. jakieś bliższe dociekania, dotyczące właściwości stylu „Przedwiośnia” mogły mieć większe znaczenie dla ukształtowania się naszego stosunku do tej powieści. Toteż studium Markiewicz, trafnie uzupełnione dziś przez autora partiami dotyczącymi literackiego tła epoki i głosów krytyki o książce, ma nadal walor najbardziej przekonującej, wszechstronnej pracy na jej temat. Mimo to nie można nie zwrócić uwagi fakt, że w ostatnich swoich pracach Markiewicz znacznie rozszerzył zakres problematyki analizowanych utworów, wzbogacił ją np. w studium o „Ludziach bezdomnych” o rozważania na temat psychologii postaci powieściowych i na temat języka utworu, a w pracy o opowiadaniach Żeromskiego dał wnikliwą analizę artystyczną wielu z nich.

Podkreślić trzeba, że oba te najnowsze studia Markiewicz dotyczą utworów, które przed paru laty zostały już w ibłowskim tomie o Żeromskim poddane pierwszej próbie interpretacji z perspektywy naszej współczesności. Jeżeli chodzi jednak o wcześnie opowiadania Żeromskiego, to studium prof. J. Z. Jakubowskiego (analizujące zresztą

ponadto i pierwsze utwory powieściowe pisarza jak „Promień” i „Syzyfowe prace”) — nie mogło jeszcze uwzględnić tak kapitalnego źródła naszej wiedzy o ówczesnym okresie życia autora „Silaczki”, jakim są jego „Dzienniki”. Pisząc swoją rozprawę Markiewicz wykorzystał zarówno wydaną już część „Dzienników”, jak ich dalsze tomy, jeszcze nieopublikowane, a konfrontacja poszczególnych opowiadań pisarza z dotyczącymi ich lub odpowiadającymi im w czasie zapisami „Dzienników” pozwoliła krytykowi na wyprowadzenie wielu ciekawych wniosków dotyczących metod pracy pisarskiej Żeromskiego, wykorzystywania przezeń faktów i obserwacji życiowych np. jeśli chodzi o genezę takich utworów jak „Pse prawo” czy „Zapomnienie”.

Na pewną ewolucję w sposobie krytycznego naświetlania ideologicznego oblicza utworów Żeromskiego, na coraz skuteczniejszą walkę z niesprawiedliwą, ahistotyczną oceną jego dzieł, wskazują uwagi Markiewicz na temat takich opowiadań jak „Silaczka” i „Doktor Piotr”, a zwłaszcza potraktowanie przez krytyka zagadnienia pożytych bohaterów tych opowiadań: „Już samo wprowadzenie do literatury — pisze Markiewicz — ludzi, którzy jak doktor Piotr, przeciwstawiają się normom moralnym, sankcjonującym wyzysk kapitalistyczny, którzy — jak Silaczka — bezkompromisowo pełnią służbę społeczną, stanowiło krok naprzód w związaniu literatury realistycznej z walką toczącą się o wyzwolenie ludu”. A przeciwstawiając się lekceważącemu stosunkowi niektórych „supermarksiowskich” interpretatorów do postaci tych „nieżyjących samotników” dodaje: „Takie postaci literackie jak Silaczka i doktor Piotr mierzyć trzeba nie tylko polityczno — społeczną skutecznością ich konkretnych działań, lecz przede wszystkim miarą ich ludzkiej godności, ideowego poświęcenia, żarliwości czynnego sprzeciwu wobec niesprawiedliwości i ciemnoty”.

Wskazując na szczególną rolę autorskiej metody konstrukcji utworów pisarza, zastosowanej ze względu na carską cenzurę i dowodząc tego analogicznymi przykładami z twórczości Saltykowskiego, Szczedrina i Gleba Uspieńskiego,

krytyk stawia przekonującą tezę, że w warunkach owej cenzury takie postaci bohaterów jak „Silaczka” stanowiły literackie uogólnienie każdego heroicznego, bezkompromisowego wysiłku oddanego sprawie ludu, sprawie postępu społecznego. Nie przemilczając bynajmniej ideowych ograniczeń postawy młodego Żeromskiego wprowadza jako ostateczny wniosek z analizy jego wczesnych utworów tezę, iż nową wartością, którą najlepsze z nich wniosły do naszej literatury, był — w przeciwstawieniu do wszystkich poprzednich dzieł realizmu krytycznego — „bezpśredni, frontalny atak na podstawy ustroju, nie tylko zaś na jego nadużycia”. „Nie poprzestawał na oskarżeniu — charakteryzuje twórczość Żeromskiego Markiewicz — poprzez krystalizującą się stopniowo postać pozytywnego bohatera wzywał do walki przeciw krzywdzie i poniżeniu człowieka... zrywał z milczącą ugodowością poprzedniego pokolenia pisarzy... Pogląd literacką wiedzę o tym, jak obiektywne prawidłowości społeczne przebiegają w indywidualnych przeżyciach i postępowaniu człowieka. Rozszerzał język literatury o nowe pokłady stylistyczne, o nowe sposoby przekazywania słowem ludzkich namiętności i porównań, urody i potworności widzialnej powierzchni życia. Dzięki temu wykuł nowe ogniwo w łańcuchu rozwojowym polskiego realizmu krytycznego. Było to ogniwo szczególnej wagi: za pośrednictwem twórczości rewolucyjnych pisarzy dwudziestolecia miało się ono stać najbliższym ogniwem wielkiej tradycji „narodowej dla realizmu socjalistycznego”.

Równie cenny wkład w studium o opowiadaniach Żeromskiego stanowiła praca Markiewicz o „Ludziach bezdomnych”, powieści zbytej w tomie ibłowskim pracą wyjątkowo silnie obciążoną socjologizmem i nie wydobytą istotnych problemów utworu. (Z. Stefanowska „Ludzie bezdomni Żeromskiego jako powieść o filantropii”). Rozprawa Markiewicz daje niezwykle wszechstronną analizę tej tak ważnej, zasadniczej pozycji pisarza, ukazuje jej bogate związki z literaturą okresu, słusznie ocenia jej funkcję ideową, a zarazem szczegółowo zajmuje się właściwościami artystycznymi utworu. Rozpatrując kluczowe dla interpretacji

ideowego sensu powieści zagadnienie życiowej decyzji Judy, Markiewicz przeprowadza rozróżnienie między przesłankami tej decyzji, które szeroko analizuje i które w sumie stanowią jego zdaniem „zawily spłot słusznych i fałszywych tendencji ideowych — spłot bardzo typowy dla tej części inteligencji, która szukała reguł sprawiedliwego życia omijając drogowaskazy rewolucyjnej ideologii”, oraz samą decyzję, będącą „powtórzeniem normy obyczajowo — moralnej dość częstej w literackim obrazie rewolucjonisty XIX wieku”, co krytyk uzasadnia przykładami z „Co robić” Czerńskiego, „Germinal” Zoli (postać Suwarina) i „Matki” Gorkiego, gdzie tendencje podobne zyskują już odmienną słuszną ocenę autorską, niemniej pojawiającą się w rozważaniach Pawła Własowa na temat konieczności rezygnacji ze szczęścia osobistego w życiu rewolucjonisty. Ograniczenie realizmu powieści widzi krytyk w tym, że Żeromski nie ukazał w „Ludziach bezdomnych” przebiegu wewnętrznej walki bohatera w całym jej napięciu i skomplikowaniu, tak jak to uczynił Tolstoj z postacią Niechłodowa w „Zmartwychwstaniu”, ale zastosował metodę „skoków psychologicznych”, a zamiast realistycznego „dowodu” — „sugestii lirycznej, dla której narzędziem staje się styl poetycko — patetyczny”.

„Powieść Żeromskiego — pisze Markiewicz o „Ludziach bezdomnych” — z realistyczną wnikliwością obrazując ideową postawę Judy, nie dawała wystarczających przesłanek do jej słusznej oceny”. Sugerowała ona pełną aprobatę czynu Judy, przy czym „niebezpieczeństwo ideowe tkwiło nie w sugestiach ascetycznej moralności... społeczna skuteczność ich oddziaływania była minimalna” ale w „indywidualistycznej koncepcji bohatera przeciwstawionego bierności tłumy”, „nieokreśloności jego dążeń społecznych, wśród których rewolucyjność była co najwyżej jedną z mglistych możliwości”.

Oceniając jednak dzisiejsze znaczenie książki Markiewicz słusznie podkreśla, że główne ograniczenie jej realizmu i brak dystansu wobec bohatera — traci swe szkodliwe konsekwencje, gdyż dla współczesnego czytelnika bezpłodność je-

go samotniczego działania jest oczywista. „Zachowuje natomiast wartość realizm powieści w ukazaniu uwikłanej, niezakończzonej ostatecznie, ale przedziśniej, walki o społeczeństwo burżuazyjnym inteligentem proletariackiego pochodzenia zmierzająca z powrotem do swej klasy, by z bezkompromisowym oddaniem służyć jej sprawie; realizm w ukazaniu manowców, na jakie spycha go niewiarą w wyzwoleniec misję klasy robotniczej”.

Podobnie w studium o „Przedwiośniu” — ocenę polityczno-moralnego dialogu, stanowiącego treść utworu, Markiewicz słusznie zaopatruje w uwagę, że „dzisiejszy, socjalistyczny czytelnik bez wahania wyłuska z dyskusji powieściowych te właśnie poglądy jako słuszne”, gdzie Żeromski dawał „akcenty aprobaty dla wielkiego prawa moralnego rewolucji... tym bardziej, że... nie tylko przytaczał je bez zniekształceń i zafalszowań, ale niekiedy wyposażał nawet we wszystkie walory emocjonalne swego stylu”.

Pewną nowością w studium o „Ludziach bezdomnych” są — na tle poprzednich prac Markiewicz — jego uwagi poświęcone właściwościom kompozycyjnym i stylistycznym powieści, oraz ich związkowi z ideową — artystyczną wymową utworu. Na licznych przykładach ukazuje Markiewicz narastanie w „Ludziach bezdomnych” cech stylu właściwych psychologiczności, a podkreślając pewne nowatorstwo pisarza w znajdowaniu formuły językowej dla aktów psychicznych z trudem kontrolowanych, w obrazowaniu skomplikowanych i przelotnych zespołów uczuciowych — uaoćnia z drugiej strony jak, w porównaniu z postaciami Prusa czy Orzeszkowej, następuje u Żeromskiego stopniowanie „dezintegracja charakteru powieściowego na serie sytuacji psychologicznych — tak znaną dla literatury okresu imperializmu”. Zbędny może i nieco jałowy wydaje się tu fragment rozbiory rytmizowanej prozy Żeromskiego, niemniej ogólnie biorąc, próba uchwycenia charakterystycznych cech stylu pisarza jest cennym uzupełnieniem studium, bo zwracając uwagę na literacką specyfikę dzieła wskazuje na odwrót od rażących nas już dziś uproszczeń w

traktowaniu utworu literackiego wyłącznie od strony jego funkcji społeczno — politycznej.

Scharakteryzowałem nieco szerzej dwa ostatnie studia Markiewicz poświęcone Żeromskiemu, gdyż stanowią one niewątpliwie wykładnik pewnego procesu rozwojowego, jaki w ciągu kilku lat ostatnich zaznaczył się w pracach naszych historyków literatury. Podkreślić trzeba jednak, że zasadnicze cechy tych szkiców, ich głęboka wnikliwość, precyzja myślowa oraz umiejętność docierania do interesujących materiałów źródłowych uderzają przy lekturze wszystkich prac zawartych w książce. Mało jest dziś u nas krytyków umiających w sposób równie swobodny co odkrywcy posługiwać się bogatym materiałem źródłowym, interpretacyjnym i porównawczym. Obfitość tego materiału nie prowadzi jednak nigdy krytyka do pustych popisów erudycyjnych, zawsze służy wiernie zasadniczemu tokowi myśli, nacechowanemu trafnością argumentacji i jasnością wykładu.

Podkreślić chciałbym te zalety stylu prac Markiewicz dlatego, że stała się u nas ostatnio modą krytyka języka prac niektórych naszych historyków literatury, krytyka często w istocie słuszną, jeśli nie prowadzi do fałszywych wniosków i uogólnień. Walki o „piękną sztukę pisania”, której zasady obowiązują również krytyków i historyków literatury nie wolno toczyć: po pierwsze — w imię zwrotu do stylu nieodpowiedzialnej impresyjności, po drugie — w imię jakiegos kanonu felietonowej błyskotliwości, wobec którego każda poważniejsza praca historyczna — literacka jest złośliwie oceniana jako tzw. „piła”. Jest to na ogół tylko symptomem złych nalogów lenistwa myślowego, z którym tak zaciecie walczył kiedyś Irzykowski. Warto zaznaczyć, że książka Markiewicz należy do kategorii tych prac krytycznych, w których każde zdanie wiernie i ściśle, a zatem pięknie służy zawartej w nim treści myślowej. Jest książka, która w sposób rzetelny, z pełnym naukowym pokryciem dla każdego słowa, interpretuje dzieła klasyków naszej literatury, a tym samym zbliża nas do nich, uczy je szanować i kochać.

Ryszard Matuszewski

(Dokończenie ze str. 1)

— Taaka jest! — odkryknąłem i sprawnie dołączyłem do czoła. Jeszcze tylko raz, raz jedyny oberżalem się ukrakiem do tyłu — za nimi. Ludziem się przez chwilę, że dostrzegę choćby zarysy ich postaci, łopoczący nad nimi jak kosmyk ognia skrawek płoć. Ale wszystkich pochłoniął już warszawski gruz. Utonęli bez śladu w kolumnach okopconych, bezimennych ścian jak w kamiennym straszonym pustkowiu...

Wychodzimy w końcu na szeroką, wyasfaltowaną ulicę. Jest ona pusta, oczyszczona z gruzów i spalonych wagonów tramwajowych. Pośrodku niej stała *Quarry*, rozłożona ją wczoraj nasze własne ręce. Teraz biegnie przez nią swobodny szlak. A tuż w głębi widać znowu znajomy ciemno-zielony kolor i świecący polysk wypucowanych od święta hełmów. To już wróg. Stoi po obu stronach jezdni zwarty, gęsty łańcuchem. Dołączamy na koniec zgromadzonej, powstańczej cizby. Fałuje tutaj głuche, pełne napięcia milczenie. Każdego z nas drąży ta sama myśl.

— Co czeka nas po tamtej stronie?

Od strony miasta, spoza dalekich płomieni i podpyływających aż pod nasze stopy kłębowy dymu wychyla się potężny, czarny wóz: to reprezentacyjny, cichutki szumiący motorem Mercedes. Siedzą w nim niemieccy generałowie, poznajemy ich po czerwonych kłapakach płaszczy, a obok nich jakiś cywil. Auto zwalnia i cichutko przejeżdża wzdłuż naszych wątych szeregów. Cywil ubrany w ciemny płaszcz, staje w wozie, zdejmując miękki angielski kapeluszy i powiewa nim sentymentalnie w naszą stronę. Jest łysy, ma końską, trójkątną twarz i aż tutaj widoczne worki pod oczyma. Na ramieniu widać białoczerwoną, powstańczą opaskę. Uśmiecha się do nas blade. Ale ludzie stojący w szeregach milczą.

— Kto to? — szturchem „Homerka”.

— Ale odpowiada mi już pomruk całego, powstańczego tłumy.

— Bór, Bór... cizba fałuje lekko ale dalej tylko milczy. Widać siedzącego obok w aucie esesowskiego generała. Patrzy na nas spokojnie, beznamiętnie. Ani drgnie jego neruchoma, gładko wygolona twarz. Przejechali.

I zaraz potem rusza nasz pochód. Powoli podsuwamy się i my pod to ostatecznie decydujące miejsce, gdzie trzeba stać się człowiekiem rozbrojonym. Widać całą bandę fotoreporterów. Co chwila błyskają po nas oslepiające ich bliscie. Teraz słychać nawet łagodny szum taśmy filmowej. Będziemy wreszcie w Trzeciej Rzeszy sławni — po swojej żołnierskiej śmierci. Już widzę coraz bliższe lśniący ciemnym odbłaskiem w leniwym słońcu stos. Przyciąga on mój wzrok niczym magnes. Dolatują stamtąd nieregularny żelazny chrzęst. I to jest właśnie najgorsze: składana znowu przed śmiercielnym wrogiem nasza powstańcza broń. Jest jej tutaj dużo, nigdy nie uświadamiałem sobie jak dużo. Leżą obok siebie, bratersko połączone zrzucone „Thompsony” i „Steny”, zdobyte krwawo na wrogu „Bergmanny” i „Schmeissery”, karabiny zakopane jeszcze we wrześniu i te ostatnie, kupione za psi groź od frontowych maruderów, których już poraziła psychicznie potęga radzieckiego ognia i stali. Całą historię naszej walki można z tego stosu odczytać.

I teraz to wszystko bierze znowu

wróg-dziwieńca — który to już raz w naszej historii? Pięć to lat temu we wrześniu pędził tą samą drogą, tak samo jak my skrwawionych i poranionych, z głuchą rozpaczą w sercu i z przekłętą przeciegią milczenia na ustach naszych ojców. I oni szli mając te same pytania wyczytując je jak i my wyczytujemy z oczu przechodzącego tłumy: swoich matek, dziewczyn, żon, braci, dzieci:

— Dlaczego?

Dzisiaj na zachód do niemieckiej niewoli idziemy i my. Tylko, że za nami pozostanie już tylko wymarłe, ukrzyżowane na wiślanym piasku miasto. My właśnie jesteśmy ostatnimi kroplami żywej krwi, uchodzącymi z jego kamiennego boku. Prawda, mijali nas ludzie, którzy szli pod ten niewolniczy prąd. Po raz pierwszy coś mi naprawdę poczyna świtać w głowie.

Dlaczego nie rozgadałem się jak należy z człowiekiem w burym sznelu — Andrzejem?

Nie przyszli sami do mnie, nie ufali mi widocznie ale i ja przecieć nie szukałem ich wcale. Wystarczy mi wtedy mój świadek, który teraz poczyna pękać i rwac się, jak łe skrojone ubranie, które już nie ukryje mojej rozpaczliwej myślowej gołizny. Myślałem o upragnionej gwiazdce, a przecieć to wszystko, jakże rozumiem dokładnie teraz, stało się tylko lśniącem śmieciem. Ale już jest za późno nawet na rozmyślanie. Szereg naciska na mnie ze wszystkich stron. Płynę w nim milcząco i grzeźnie tuż w zielone brzozy rzędów esesowskiej piechoty. Jestem tuż obok kopca z oddaną bronią. Obok tego widocznego, ostatecznego kształtu i mojej tyloleńniej wróćcej biegani, sztelaminy, pracy. Mojej — i tysięcy tych, co nie doszli i doszli do dzisiejszego, jesiennego dnia.

— Gewehr ab — oddać broń! — słyszę ostre krzyki niemieckiej komendy. Ciskam więc w ten stos swojego wysłużonego „Walterka” i idę chwiejnie dalej. Zwolna unoszę zawstyżone oczy i widzę obok kupy broni starego niemieckiego feldwebela. Ma on twarzyczkę całą w siateczkę drobniutkich starczych zmarszczek. W rękę trzyma duży czarny notes i cichutko mrucząc liczy spadającą miarowo — naszą broń.

Widać coś niezwykle dostrzegł na mojej twarzy bo przerwał na chwilę robotę i uśmiechnął się od ślaniając nieznacznie poślizgię żęby. Podszedł do mnie wlokąc się się nogą za nogą, klepnął przyjaźnie w plecy:

— Nie płakać, nie płakać, mówił dziwną polsko — niemiecką mieszaniną słów, polski chłopak — gut. Trzeci Reich — gut. Obroni was przed bolszewikami. Nie bójcie się. Ale Komunisten kaput — rozumiecie? Verstehen sie? Adolf Hitler hat gesprochen: Wunderwaffe kommt an die Front. Rozumiecie? Polski chłopak — gut. Bolszewiki — kaput. Jeszcze raz szeroko zyciście klepnął mnie po ramieniu. Zaciśnięciem żęby z rozpaczą, spojrziałem. Wokół niewidzącymi oczyma: — Boże kochany, dokąd ja przyszedłem, gdzie jestem? Odpowiedział mi jednostajny szezęk rzucanej ciągle i ciągle powstańczej broni.

Stary feldwebel spojrzął na mnie bacznie i przystanął znowu:

— Preńko, preńko, schneller, rozdarł się na całej gardło i znowu spokojnie powrócił do swolch obrachunków.

Spuszczam jeszcze niżej głowę i sprawnie, nad podziw sprawnie dołączam do reszty kolumny.

Jak długo tak szliśmy nogą, za nogą — sam nie wiem. Nie rozróżniałem już mijanych ulic, domów i kościołów. Na moje rodzinne miasto patrzyłem obcymi oczyma człowieka otepiałego na niezwykłość opustoszałych mieszkań, ponury urok wypalonych albo zdruzgotanych murów, kościołów z opadniętymi jak kamienne płatki sklepieniami i tylko na osmolonych kolumnach dźwigającymi strop niebieski. Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy dostrzegłem znajome domy Woli, skąd oddałem swoje pierwsze strzały. Zapadał leniwie zmierzch. Cienie coraz śmielej rozprostowywały się pod murami wypalonych ulic. Cały czas szliśmy i szliśmy przez wielki cmentarz miasta. Widzieliśmy coraz częściej trupy kobiet i mężczyzn leżące w ostatnim żywym skurczu albo rozkrzyżowane na gładkiej lśniącej jezdni. Mieli poślizgię, dalekie w ciszy śmierci twarze i przemoczone krwią ubrania. Wokół nich wałowały się poprupe walizy, bielala pościel i bielizna. Widać było, że ludzie ci zginęli całkiem niedawno, kto wie, może przed kilkoma godzinami czy minutami... Poczłem uważniej rozglądać się dookoła i bardziej nasłuchiwać. Teraz dopiero uświadomiłem sobie w pełni, że miasto nie jest całkiem martwe i ucihle, że co chwila szeleści strasznym bulgotem smutnych pistoletowych i karabinowych wystrzałów. Rychło zrozumiałem ten ledwie kląskający wśród ogromu murów głos. To ciągle mordowano w ruinach nieznanych ulic. Obok naszej kolumny szła eskorta: rosłe chłopcy w mundurach „feldgrau” z karabinami w pogotowiu. Od czasu do czasu nawoływali się wzajemnie. Ich krzyki rozlegały się tuż nad naszymi uszami i przylguszyły tamte samotne salwy. Ale właściwie i tak nie były potrzebne. Szliśmy pokornie i spokojnie jak stado uległych wółw. Mijaliśmy po drodze kolumny pędzonej przed nami cywilnej ludności. Patrzyli na nas znowu obco i osowale. Czasem ktoś westchnął głośnie w głębi tej ciemnej

cizby, czasem padło zapytanie o ojca, syna, brata, na które z zasady nie było odpowiedzi. W oczach starców najsilniej błyszczał lęk. Bali się, czy wytrzymają do końca tego marszu, a wiadomo było, że esesmani dobijali bez litości wszystkich pozostających w tyle. Co młodsze kobiety kulły się w głębi, pośrodku kolumny z obawy przed wyciągnięciem z tłumy i zgwałceniem. Ukraińcy i Niemcy w esesowskich mundurach chodzili całymi stadami i chcieli obmacywali szeregi z szeregiem. Mało która z uprowadzonych przychodziła potem na powrót.

Lęk, wielki lęk wisiał nad tym bezbronnym i słabym tłumem i nigdy chyba jeszcze nie modlono się żarliwiej o szybsze nadejście całkowitych nocnych ciemności, które wszystko okryją swym mrokiem.

Dopędziłymi właśnie jedną z takich kolumn. Prześlaniałem się po niej wzrokiem. Na końcu wlokli się wysoki, zgarbiony starzec. Widać było od razu, że szedł z coraz większą trudnością. Co chwila przysiadł, aby zaraz potem w sposób zabójczy dla zamierającego serca dopędać ogon kolumny. Same nogi słaby mu przy tym coraz bardziej, bo ślizgał się co chwila na równym przecieć jak stół betonowy ulicy. Było mi go bardzo żal i skoro dopędziłem go w końcu, przyjrzałem mu się uważnie. Mignęła mi posiwiała, charakterystyczna, jakże znajoma bródka.

— Jest „Kozia bródka”! — krzyknąłem radośnie jak na widok dawno nieogładanego i bardzo bliskiego człowieka. Kłociłem się z nim często, zawsze osądzał mnie surowiej od innych, ale mimo to miałem do niego nieustającą, wielką słabość. Może za to, że mimo wszystko wiedział czego chciał ze wielokrotnie wracał do tych strof Mickiewicza i Słowackiego, które były dla naszych młodych dusz niczym dynamit! Teraz więc na znajomy widok, aż zdarzałem cały ze wzruszenia.

Przedarłem się na sam skraj naszego szeregu i siłą nieledwie wtargnąłem „Kozia bródka” w głąb naszej kolumny. Całkowicie zamilczało wszystko bez słowa i w mig otoczyli nas żywa zasłona. Profesor był jednak wysoki i wystawał o prawie pół głowy z naszego szeregu. Poza tym ta cholerna, siwa bródka... Tyłem mu się od nas w szkole za nią dostawało... i nie zgolił jej do końca. Dopiero teraz spostrzegłem, że trzyma kurczowo w rękę swoje sławne okulary. Były one rozbite i tylko złoty drut mijał się tam i z powrotem w drżącej wychudłej dłoni. Zrozumiałem teraz całą niepewność jego kroku. Zaraz też zachwiał się raz i drugi, ale doskoczyliśmy w mig; z jednej strony ja, z drugiej — „Czarna ręka”, który szczęśliwym trafem znalazł się obok, i wspólnie pomazzerowaliśmy dalej.

Ja sam próbowałem „Kozia bródka” po cichu uspakajać.

— Niech się pan psor nie bój i idźcie razem z nami. Wspólnie łatwiej dojdziemy do końca. Już zresztą niedaleko.

Odwrociłem ku mnie głowę. Miał po staremu pod siwymi brwiami młode, roziskrzone oczy.

— Widzę ciebie synu kiego. Byłeś moim uczniem?

— Tak jest, panie psorze, klóciłem się nawet...

— A czemu, już wiem, ucieślił się wyrażnie. I co udało się, ocalałeś?

— Tak jest panie psorze, idziemy do niewoli. Już po wszystkim...

— Już po wszystkim, mówisz synu? No, no... a radia nie słuchałeś dzisiaj, co?

— Zdziwiłem się nieco:

— Nie, nie słyszałem panie psorze, bo i skądże? Nikt o tym nie myślał nawet, a zresztą — skąd wziąć akumulator?

— Tak, tak, a tam pewnie Anglię rozpoczęli ofensywę od Grecji i kto wie gdzie mogą być dzisiaj. Którego to dzisiaj?

— Drugiego października, odpierłem cierpko, bo nie podobala mi się ta nowa, a w gruncie rzeczy jakże stara już z „Kozia bródka” dyskusja.

— Nie to, chłopcze, czuj duch! Może już niedługo, niedługo. A kto idzie tutaj obok — twój przyjaciele?

— Towarzysze broni, panie psorze, powstańcy. Starzec zamilkł. Szliśmy w milczeniu i słycać było monotonne szuranie jego wymoczonych nóg. Ale podtrzymywaliśmy go z całych sił aż do drętowity ramion. Jak drogocenny skarb, jak na nowo odnaleziony nasz sztabler. W krąg „Kozia bródka” sam przerwał to wyrosło wokół niego milczenie.

— Byłeś dobrym uczniem, co? Przypominam sobie: nieźle, całkiem nieźle... Pamiętasz Mickiewicza?

Byłem znowu w uzasadniony sposób zaskoczony.

— Teraz w takiej chwili zabrał się do egzaminu?

Bąknąłem więc nieskładnie pod nosem:

— Nie było kiedy o tym myśleć. Pan psor wie: na każdej ulicy budowaliśmy reputy Ordo...

— Wiem, uciał krótko. Przekrzywił głowę raz w lewo, potem w prawo w głębokim namyśle. Tylko siwa szczołka brody migiała mi przed oczyma.

Odetchnąłem nareszcie nieco uspokojony. „Kozia bródka” był teraz balsamem, kojącym wszystkie moje duchowe rany. Jego żywy gest zdradzał jakąś niewygasłą energię i ciągle sprawnie umysłu, wypakowanego mądrością wielu książek, napelniał mnie nową, nieznaną dotąd pewnością siebie.

Wiedza — oto był jasny sygnał przyszłości rozgorzały na ciemnym

nurcie naszego pochodu. Ona nie zaginie, więc nie zaginie i pamięć o nas — choć byśmy pojedynczo grzeli od jutra ziemię.

Szliśmy już betonem szosy. Był on gładki i aż lśniący po niedawnym deszczu. Krok nasz, zrazu beładny i rozwiekły nabrał teraz rytmu i pogłosu. Ludzie jak zwykle idący w szyku, poczęli równać szeregi z szeregiem. Znowu buchnął daleki strzał: jeden, drugi... Ktoś kęknął na cały głos w kolumnie, ktoś dostał spazmów na przodzie. Ktoś krzyknął: — zabijcie! Ale zaraz wtłoczono mu ten krzyk jak knebel do gardła, wzięto beładnego na ramiona i pochód począł znowu miarowo, jak wielka szara dżdżownica, pełzać w zapadającym coraz szybciej zmierzchu.

„Kozia bródka” mrugał co chwila zaczerwienionymi z wysiłku oczyma krótkowidza. Nastuchiwał przy tym pilnie. W końcu odezwał się:

— Co to, płacz?

Nie miałem siły zaprzeczyć: — Nie mogą już chłopaki wytrzymać, panie psorze. Za dużo tego dobrego na dzisiejszy dzień. Ja sam wolałbym go nie dożyć i pozostać pod gruzami. — Jak żywe stanęły mi przed oczyma niedawno przeżyte chwile. Ale „Kozia bródka” aż zasyczał w złości.

Jego chuda, odziana w wytarte palto postać wyprostowała się stłwono — istna tyczka grochu. Majnął w półmroku złotym drutem okularów tuż przed moim nosem:

— Nie płacz szczeniaku. Zostanie nam nadzieja. A ona, synu jest zawsze matką poetów...

Ale we mnie już na dobre rozbudził się duch oporu:

— Nieprawda, mruknąłem gniewnie, pan psor nie widział — a ja znam i wiem: nadzieja to matka głupców...

— Upadłeś, widzę synu, na kolona?

— Nie, panie psorze: ja tylko narazicie chcę nauczyć się, jak przyśłać człowieka, patrząc na świat.

„Kozia bródka” począł znowu niezrozumiale mamrotać pod nosem. Znałem jego dziwaczne przyzwyczajenie i nie odzywałem się już ani słowa.

W Y M

czajenie i nie odzywałem się już ani słowa.

— Niech się staruszek choć przed samym sobą wygada i wyżali bez reszty. Byłem go tylko w calości dołódk do kolejowej rampy. Radosne ciepło poczyniło mi rozgrzewać serce. Miałem, choć na krótką chwilę, po co i dlaczego żyć...

Znowu cisza poczęła nam ciążyć, znowu rozległy się westchnienia, jeden i drugi jęk. Ciężkie, plugawie przekleństwo. Spojrzałem z niepokojem na „Kozia bródka”. Wsluchiwał się z uwagą w te wszystkie odgłosy, ale nie mówił. W duchu cieszyłem się z tego. Zdawało mi się, że powinienem pancerzem swojej opieki uchronić staruszkę od wszelkich wrogości i wulgarności świata.

Rzekłem więc w końcu na wszelki wypadek:

— Niech pan psor nie zwraca na to swojszko uwagi...

Spojrzał na mnie wyniośle i prychnął gniewnie:

— Nie pouczaj mnie chłopcze o moich obowiązkach. Sam wiem dobrze, co do mnie należy...

I nieoczekiwanie ścisnąwszy mnie mocno pod ramię zaczął nadspodziewanie silnym, uroczystym głosem wołać. Rozpoznałem to wołanie od razu i poczułem gorąco na twarzy, szyi, piersi.

— O broń i orły narodowe — prosimy Cię Panie...

Znowu ścisnął mnie gwałtownie porozumiewawco za ramię. Wiedziałem o co mu chodzi.

Spojrzałem w górę na jego twarz i odruchilem przec obawy. „Kozia bródka” miał powieki przymknięte i aż błękitne w półmroku. Policzki suche i ściągłe w ostatnich promieniach czerwono zachodzącego słońca obrosły lśniąca rudo, jakby żywą aureolą światła.

— O śmierć szczęśliwą na polu bitwy...

— Prosimy Cię Panie, zaszermali nierównie spletane głosy z tyłu, z przodu, wokół nas. I ja dołączyłem do nich pewnie swój głos. Byłem już tylko częścią kolumny, która wchłaniała w siebie ten wysoki głos jak konający z wycień-

W Y M

czenia człowiek świeży, zbawienną krew.

— O grób dla kości naszych w ziemi naszej... — krzyczał dalej przenikliwie „Kozia bródka”.

— Prosimy Cię Panie... Teraz huczała modlitwa już cała bez wątku kolumna. Co chwila migotały blade twarze, rozjarzone oczy ludzi, ogłędających się w naszą stronę. Ale marsz nie ustawał ani na chwilę. Płynął w łagodnym rytmie litanii — poważny, uroczysty, ogromny, niczym chmura burzowa nabrzmiała błyskawicą i deszczem.

„Kozia bródka” nie ustawał. Mrugał oczyma czerwonymi jak u królika, patrząc w świat zarastający już całkiem ciemnością i ciągnął swoje niczym rdzewiejącą, ale niezmordowaną pozytywką:

— O niepodległość, całość i wolność ojczyzny naszej...

Już nie szmer, szum, ale wielki wydarły z dziesiątków gardzieli krzyk bluznął w niebo. Już nie samotny głos, ale potężny na nowo odczyły pomruk ludzkiej gromady odpowiedział jak odzew głosowi starego profesora.

— Prosimy Cię Panie...

A potem zaraz dziesiątki ludzi poczęły znowu powtarzać stłumionym głosem.

— O broń, o broń i orły narodowe... Stało się co się stać musiało: gdzieś z przodu omiotł kolumnę purpurowy jeźor wystrzał. Ktoś krzyknął przeraźliwie i zwinął się zaraz na betonie. Otrzeźwieliśmy wszyscy w mgieniu oka. Powstało zamieszanie. Kolumna zakolysała się i zakotłowała w miejscu, gdzie upadł trafiony człowiek. Potem w niebo strzeliła rakietą i oświetliła wszystkich trupiobladym światłem. Wzdłuż szeregów rozległy się ciężkie kroki biegających z bronią ludzi. Osłepił nas jeden i drugi reflektor.

— Halt, halt! — rozległ się znowu krzyk. Kolumna drgnęła raz jeszcze i w końcu całkiem znieruchomiała.

— Wer da? Wer da? — rozległ się nowy pośpieszny krzyk. Eskortą na-

ANDRZEJ

O k r u c h

posterunkowy wprowadził bo- cznymi drzwiami aresztanta i sędzia po odebraniu personaliów zaczął odczytywać akt oskarżenia.

Sala była prawie pusta. W otwartych sztach brzęczały wielkie końskie muchy; z dworu szedł gorący majowy. Prócz nas znajdowało się tutaj zaledwie trzech chłopów, którzy podobnie jak Pietrek byli sąsiadami i kuzynami aresztanta. W pierwszym rzędzie ławek siedział filar oskarżenia, barczysty, bykowały policjant.

Aresztant, chłop w wieku około pięćdziesięciu lat, ubrany w workowaty strój więzienny, koloru konopi — miał w rękę spłowiałą mykę — i słuchając sędziego patrzył nań wybaluszonymi oczyma. Wyglądało na to, jakby o czymś bardzo intensywnie myślał, ale jakby jego myśli nie mogły wyjść poza krąg czegoś, co sobie wbił w głowę... Jak wynikało z aktu oskarżenia i z personaliów, był niepiśmienny, wdowiec, bezdzietny. Nie posiadał też innego majątku poza chałupą i dwoma morgami, któreś tam klasy (Pietrek szepnął mi wyjaśniając, że to „sam piach” i „ledwo mitelica się rodzi”). Krowy, ani przychówku nie miał, poza jednym byczkiem, kupionym za pożyczkę ze Spółki Rolnej. Na rzecz Spółki doszło właśnie w marcu czy w kwietniu do licytacji... byczka.

Aresztant przysłuchiwał się przez cały czas odczytywanemu oskarżeniu jakby ze skrucą i w poczuciu swojej winy. Wzdychał od czasu do czasu i potakiwał głową na znak, że to wszystko prawda, i że rzeczywiście w chwili, kiedy przybył do niego egzekutor w towarzystwie posterunkowego złapał za drogę i nie pozwolił im wykonywać ich funkcji... Mało tego, „kiedy posterunkowy usiłował wyprowadzić byczka z oborki — oskarżony rzucił się na posterunkowego i krzycząc zbroju jeden, bandyto, Antychryście — zaczął go okładać pięściami. Posterunkowy nie zdążył użyć broni, ponieważ zalał się krwią...”

Aresztant wcale temu nie zaprzeczał. Przeciwnie, kiedy teraz odzywał się do wszystkiego w słowach sędziego — na jego czerstwej, choć może trochę zmęczonej twarzy widać było dogłębne wzruszenie, połączone z żalem. Chrzakał też szerokim nosem, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Kłębiło mu się w oczach i dusiło go w gardle.

Wydawało mi się to jego zachowanie co najmniej dziwne. Pietrek na moje pytanie odpowiedział cicho, że „on już taki jest, żył zawsze jak sobok” i że „go życie zahukało...”

Tym bardziej zacząłem mu się przyglądać. Nie zaprzeczył faktycznie, iż „po pobiciu i okopaniu bosiymi stopami posterunkowego odebrał mu karabin, wrzucił go razem z czapką w gnojówkę i go chwyciwszy widły, wyzywając od

Aresztant nie odpowiedział, tylko jeszcze bardziej wybaluszył oczy i otworzył usta.

— Czy przyznajecie się do winy? Wstańcie! — powtórzył łagodnie sędzia.

Aresztant zmieszał się i spojrzął pytająco w stronę posterunkowego. Ten wiał go pod pachę i odezwał się półgłosem:

— Trzeba wstać i odpowiedzieć sądowni.



Rys. Sz. Kobyliński

dziw brał, że mógł zostać wtedy pokonanym!

Aresztant nie patrzył na swoją ofiarę, której się zresztą nie poza wykapaniem w gnojówce nie stało; — zachowywał się wobec poszkodowanego przez siebie tak wstydliwie, jak dziecko, które mimo iż je upominano, mimo iż wiedziało, że czyni źle, gnane tajemniczą siłą nie mogło powstrzymać się od przestępstwa...

Nie było też widać żadnej solidarności między aresztantem a jego sąsiadami i kuzynami obecnymi na sali. Siedzieli niemo, bez ruchu, jakby kije polkneły.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy w myśl aktu oskarżenia? — zapytał rozweselony i tą całą sprawą, jowialny sędzia.

Aresztant dźwignął się teraz szybko i patrząc na posterunkowego, jakby szukał opinii czy dobrze posługuje zaczął mówić:

— Ano, ano, proszę sądu. Tak było! Przyznawam się do wszystkiego. Szczera prawda! Tak było... — odsapnął też zaraz ze zdenerwowania czy z wysiłku.

Sędzia przydyktował to oświadczenie swoimi słowami protokołantowi i zadał drugie z kolei pytanie:

— Czy oskarżony chciałby złożyć jakieś wyjaśnienia?

Aresztant spojrzął znowu pytająco na posterunkowego, a nie znalazłszy odpowiedzi — zakłopotał się najwidoczniej. Miał przez chwilę mykę w rękach, chrząkał,



**NOWOŚCI
I WZNOWIENIA**

Louis Aragon KOMUNISCI T. V cyklu — zakończenie pierwszej serii dzieła.		Str. 548	zł 17.—
Gyula Illyés LUD PUSZTY Opowieść o życiu i obyczajach wsi węgierskiej		Str. 280	zł 10.—
Jarosław Iwaszkiewicz CZERWONE TARCZE Ilustrował J. M. Szancer Wydanie piąte Opr. w pł.		Str. 280	zł 17.—
Bohusław Kuczyński O POWROT BARAŻASZÓW Opowiadania		Str. 128	zł 5.—
Wilhelm Mach DOŚWIADCZENIA I PRZYPADKI Opowiadania, eseje, reportaże i felietony 1915—1953 Opr. w pł.		Str. 276	zł 14.—
Guy de Maupassant HISTORIA PRZĄDZIWI i inne nowele		Str. 260	zł 9.—
Sygnard Wiśniowski W KRAJU CZARNYCH STOP ORAZ Inne nowele, opowiadania i szkice podróżnicze. Ilustracje z czasopism współczesnych Wiśniowskiemu		Str. 452	zł 22.—
Stanisław Wygodzki WYBOR WIERSZY		Str. 224	zł 10.—
Stefan Żeromski WALKA Z SZATANEM Ilustr. K. Heisz I NAWRACANIE JUDASZA II ZAMIEĆ III CHARITAS		Str. 224 Str. 180 Str. 272	
„CZYTELNIK” K 917-1			

ARSTZ

szej kolumny sama nic nie rozumiała z tego, co wydarzyło się przed chwilą i ganiała tam i z powrotem strzelając na alarm.

„Kozia bródka” szarpnął się. Próbowałem go zatrzymać, ale z nadspodziewaną siłą odepchnął mnie od siebie.

— Nie wtrącaj się, synu, w nie-swoje sprawy. I pamiętaj, że zawsze liczyłem i będę liczyć na ciebie, ot co...

Wyszedł z szeregu staniając się i powiódł ledwie nogami jak przy-

i krzyknął swoje: Wer hat gesungen? — co znaczyło: kto śpiewał?

Przecisnąłem się do przodu na sam skraj naszego szeregu. Słyszałem każde słowo, każdy oddech, wy-czuwałem nieledwie każdą myśl u tych ludzi stojących naprzeciw siebie. „Kozia bródka” nie zwlekał z odpowiedzią:

— Ich hab'gesungen.

Esesman obrzucił go zdziwionym wzrokiem. Jeszcze raz obmacał od stóp do głowy reflektorowym światłem.

„Kozia bródka” milczał. Rzuciłem się do przodu. Odruchowo sięgnąłem ręką do pasa, po pistolet. Ale wy-czułem tylko śliską, pustą pochwę. Byłem wszak człowiekiem rozbrojonym...

Krzyknąłem więc tylko głośno, rozpaczliwie:

— Nie, nie! ale w odpowiedzi dostałem potężny cios w szczękę. Niebo zakotłowało mi w oczach i runąłem głową w tył, w ramiona moich towarzyszy. Ci zaraz wciągnęli mnie między siebie, ukryli, wzięli pomocnie pod ręce a ja szlochając, wypływałem zęby i krew. Słyszałem tylko z daleka ów młody głos:

— Komm mit — Alte...

Potem w wielkiej ciszy rozleź się znajomy czapiący z wysiłkiem krok.

Zwiesiłem głowę. Po chwili nie-daleko, jakby tuż nad moim uchem, rąbnął dwa wystrzały. I znowu cisza.

— Koniec, szepnął z przejęciem „Czarna ręka”, który teraz mnie z kolei trzymał mocno pod ramię.

— Dostał w „czapę”. Szkoda sta-rego...

Na stojących z brzegu chłopów posypały się ciężkie razy kolb. Ku-lili się więc, zasłaniając jak mogli rękami przed żelaznymi, drącymi aż do głębi ciała uderzeniami roz-wścieczonych żołnierzy. Niewiele to pomagało.

Zabrzmiiała wreszcie zbawcza ko-menda:

— Die Kolonne marsch! weiter!

Odetchnęliśmy z ulgą i ruszyli-my znowu równo, miarowo, nogą za nogą...

Z każdym krokiem byliśmy co-raz bliżej kolejowego transportu, który miał nas wywieźć daleko, da-leko na obczyznę. Stał on już na po-bliższej rampie pod parą. Miał nie-wielkie starannie odrutowane o-kienka a na dachach jego, z przodu i z tyłu, usadowiła się zawczasu obsługa karabinów maszynowych.

Jerzy Piórkowski

Fragment powieści pod tytułem „Matka Nadzieja”.

Zdawałoby się, że wybudowanie nowego domu wy-czerpało energię Małaziuka. No, sprawa wcale nie była taka prosta. Zdobycie wap-na, gwoździ, cegieł, cemen-tu, eternitu na pokrycie dachu, nie mówiąc już o drewnie, wymagało wielu wysiłków i pieniędzy. A o tym, jak było z majstrami — lepiej nie mówić. Weźmy na przykład takich traczy. To jeszcze nie wszystko, że trzeba im zapłacić od sżniań tyle, ile dyktują sami, że trzeba dać jeść tłu-sto i suto wraz z obowiązkowymi pa-ru kieliszkami. Tracze przychodzili wtedy, kiedy chcieli. Deszcz padał — nie przyszli. Dzień targowy — nie przyszli. Sianokosy czy podorywki — nie przyszli. A robota czekała.

Na budowę trzeba było tysięcy, lecz skąd je wziąć w gospodarce 5-hektarowej? Sprzedać tucznicą czy dwóch? Nabył? Nadwyżkę ziemni-ków i zboża? Wszystko mało. Wełnę z kilku owiec, owoce z sadu? Dopa-żyć gotówki...

Wreszcie dom stoł pod dachem. Do wykończonej połowy można się wprowadzić. Można — i trzeba na-wet — urządzić „nowoosiedlny”. Te-raz, kiedy kamień spadł z serca, Ma-laziuk kręcił się po zagrodzie, ale ja-koś tej roboty nie widać. Co najwy-żej wyjdzie z koniem na pole, no, bo kobiety posłać tam nie można. Sa-siedzi by wysmiali. Ale w domu, w obejściu — wszystko robi żona.

Kiedy na zebraniu gromadzkim ustalono, że gromada Zakowola da 60 ludzi na uchwałoną jako Czyn Lipcowy trzydniówkę przy kopaniu kanału Wieprz — Krzna, Małaziuk bynajmniej nie śpieszył ze zgłasza-niem się na ochotnika. „Mam czas — mówił do mnie — zobacz, jak tam inni”. Żona szturchała go w bok: „Jasiek, no zgłaszaj się, jakże to?”

Trudno było wyłamywać się z uchwały. Małaziuk podał swoje na-zwisko. W poniedziałek rano, choć zbiórka przed gminą w Kąkolewnicy naznaczona była na godzinę 7, Ma-laziuk od wczesnego ranka wafesał się po obejściu — nie był, skudlane włosy pukłem wysuwające się spod nasuniętej na oczy czapy. Czego wy-patrywał — nie wiem. Żona wciąż ponukiwała, popędzała: „Jasiek a Ja-siek! Ludzie już dawno przeszli, a ty?”

Milcząc wyszedł na ulicę i po kwa-drańsie wrócił, prowadząc rower, po-życzony od sąsiada. To dla siebie. Ja miałem osiąść nowego roweru, będącego dumą Małaziuka.

Jedziemy wiaziutką ścieżynką obok traktu w Kąkolewnicy do Włynanki. Trakt jest szeroki, piaszczysty, obec-nie gromadzkim szarwarkiem napra-wiany. Po obu stronach kopia rowy.

JERZY GLAUS

Łakami popłyną barki

wody — błotnistej i lodowato zim-nej. Woda sięga powyżej kolan. Inni idą jego śladem. Ze skąpych słów, jakie między sobą zamieniają, wnio-skuje, że są zdecydowani: no trud-no, tak nam przypaść. Nikt za nas roboty nie robi. „ttemantyzm mam — powiada jeden z nich — a tu taka kumpel...”

Wzięli się do dzieła rzetelnie, po-gospodarsku, w zrozumieniu włas-ne-go interesu. Bo ten kanał i związane z nim melioracje to czterokrotne co najmniej podniesienie zbiorów siana i co za tym idzie, odpowiednie po-większenie hodowli. Obliczono już, że przyniesie to dodatkowo około 150 tysięcy litrów mleka rocznie. Stru-mień — nie mniejszy od tego, który tu zalewa wykopy i hamuje pracę.

Kapela na wozie milczy. Dziadek od bebenka śpi. Napęczniałe de-szczem chmury płyną nad podłaską ziemią. Silny wiatr targa żałobnymi gądzmi olszyny, marszczy wodę na piewizorycznej tamie.

✱

Jan Ciesielski nosi wąsy, wy-swiechtą maciejówkę i uchodzi we wsi za przodującego gospodarza. U Ciesielskiego wszystko wzorowe: sprawy rolne, hodowla, sad, pasieka, stosunek do obowiązków wobec pań-stwa, a nawet sprawy rodzinne. Cie-sielski jest wzorowym mężem i ojcem licznej gromadki dzieci, które wyprowadził — jak to się mówi — na ludzi. Ale w tej wzorowości staje się nudny, a bliźnich swoich nawet drażni, bo trudno mu przypiąć jakąś łatkę. Ta wzorowość nakłada na Cie-sielskiego obowiązki reprezentacji i Ciesielski nie chodzi po prostu, on — obnosi się. Mówi powoli, z namy-słem, tonem nie znośnym sprzeci-wu. Wyrokuje. Wczoraj jednak na zebraniu gromadzkim w sprawie udziału w budowie kanału Wieprz — Krzna wyszedł z siebie. Chodziło o głupie porzeczki. Ciesielski ma sad owocowy, a są tacy, którzy go nie mają. Otóż syn jednego z sąsiadów właził Ciesielskiemu w szkodę, lasu-jąc na porzeczach. Ciesielski więc, deklarując swój udział przy budo-wie kanału wykorzystał okazję do ostrego zaatakowania ojca chłopaka. Jeszcze przewodniczący GRN był w izbie, jeszcze soltys porządkował pa-piery, kiedy między dwoma adwer-sarzami „rozgorzała gwałtowna sprzeczka. Ciesielski, błądzący pasji, kładł nacisk głównie na to, że osta-tecznie można się pogodzić z tym, iż dziecko oberwie owoc, ale nie do da-rowania jest polamanie przy tym gałęzi! Ojciec szkodnika bagatelizo-wał raczej całą sprawę:

— Kto z nas, jako dziecko, nie wlaził do sadu w szkodę?

dzie, konie po brzuch zapadają. My

na tę budowę czekaliśmy od pokoleń... Dyskretnie przysłuchujący się roz-mowie chłopci potakują głowami. Problem łak to problem rozwoju ho-dowli. Woj. lubelskie ma około 200 tys. hektarów łąk i pastwisk, które wymagają zmeliorowania i zagospo-darowania. Prace tego rodzaju, prze-widziane planami na r. 1954/55 wy-noszą 8 proc. wspomnianego obsza-ru, co ma przysporzyć 522 tys kwint-tali siana. Budowa kanału Wieprz — Krzna jest największą inwestycją wodno-melioracyjną na Lubelszczy-znie w ramach tego planu. Przepro-wadzone wzdłuż trasy kanału melio-racje podniosą urodzajność na prze-szło 70 tys. ha łąk i gruntów ornych.

Zadanie jest podwójne. Z jednej strony odprowadzenie z łąk nadmiar-wy wilgoci, z drugiej — zmagazy-nowanie nagromadzonej w ilości ok. 80 milionów m sześciennych wody w celu zasilenia nią pól w okresach po-suchy.

Rzecz dziwna: Zakowola leży za-ledwie 5 m wyżej od łąk w dolinie Szósteckiej, a w Zakowoli, by doko-pać się wody, trzeba wierceć studnie 20 m i więcej głębokie. Ciesielski jest wyrazicielem pragnień okolicznego chłopstwa, tak wiele obiecujące sobie po budowie kanału. Choć lato jest „przekropne” jak od niepamię-nych czasów, na polach Zakowoli i sąsiednich wsi deszczow — gdyby nie żyła — nie byłoby za wiele.

Ślucham rozmawiających Ciesielskiego, patrząc w perspektywie zielonych łąk, nad którymi nawisło skłębione deszczowymi chmurami niebo. Wzdłuż wytkniętej trasy kanału mrowią się ludzkie. W trzynastu punktach z górą stukilometrowej trasy wyszły dziś do wspólnej pracy gromady chłopów z 28 gmin i paru setek wsi. Niebawem wesprą ich ma-szyny, które nadeszły ze Związku Radzieckiego.

Ten tok rozumowania przerwała nagle pecyna mokrego torfu, która rzucona czyjaś ręką rozprysła się brudną plamą na białej koszuli Cie-sielskiego. Urwał w pół zdania, roz-głądając się wokół, gdy z wykopu rozleź się ostry krzyk Kruczka:

— Wy, jak wam tam, Ciesielski? Wy nie gadajcie tyle, a przyłóżcie się do łopaty! My tu nie na pogaduszki przyszli.

Pierwszym odruchem Ciesielskie-go było oburzenie. Poganiać do pracy jego, przodującego gospodarza? Bie-rze się Ciesielski do łopaty, nie chciałby jednak pozostawić mnie pod wrażeniem, że po prostu „zam-knięto mu gębę”. Zanim więc stanie na błotnistym dnie wykopu, roztacza przede mną wizję przyszłości:

— Za trzy lata kanał będzie goto-wy, a za dalszych parę lat — jak nam mówił inżynier Paluch — po

PIWOWARCZYK

SZCZĘŚCIA

patrzył na krzyż stojący na stole, na sędziego i na protokolanta — i nie mógł jakoś dojść do słowa.

— No chyba macie coś na swoją obronę — przemówił miękko sęd-za. — Chyba nie chcieliście za-bić widkami przedstawiciela wła-dzy. Tylko nerwy was poniosły, co?

— Bo, bo, proszę wysokiego są-du — odezwał się wreszcie areszt-ant — bo...

— Mówcie, mówcie spokojnie, bez strachu! To jest wasza sprawa i tu możecie wszystko powie-dzieć na swoją obronę — zachęcał przychylnie sędzia.

— A bo to było tak, proszę pa-na sędziego, żem wzion pożyczkę ze Spółki i kupilem byka. Ale — że był łonskiego roku nieuro-dzaju... No bo przecie nie było uro-dzaju, nie? (Tu aresztant zwrócił się pytając w stronę sali i pocze-kał chwilę. Nie usłysawszy jednak potwierdzenia swoich wypowiedzi — kontynuował). — To żem chciał, żeby Spółka poczekała. A oni nie. I tak, proszę pana sędziego, doszło do licytacji...

— No a o samym przebiegu za-jścia nie nam oskarżony nie powie? Aresztant rozłożył bezradnie rę-ce:

— Ano, ano, tak było! Było tak, proszę wysokiego sądu! No i winę przynaję. Zresztom, a bo mi to źle teraz?...

Ostatnie nie bardzo zrozumiałe zdanie wypowiedział, jakby z ul-gą — i zaraz też, jakby się zme-rczył swoimi odpowiedziami, usiadł.

Sędzia nadstawił ucha szepczące-mu coś protokolantowi. Spojrzał na aresztanta i na posterunkowego, który stał i nie wiedział czy wolno usiąść, i machnął ręką.

— No teraz może pan opowie nam jak to było — zwrócił się z kolei do poszkodowanego policjan-ta.

Ten wstał, obciągnął mundur, podszedł do stołu i zaczął baso-wym głosem opowiadać o tym coś-mi słyszeli już z aktu oskarżenia. Ubarwiał trochę i zmyślał, ażeby jakoś ocalić swój zbrukany honor. Mówił o wielkiej sile oskarżonego i o jego „podstępności”. Aresztant kulil głowę w ramiona i wstydził się czy też bał. Ale sędzia puszczał całe opowiadanie mimo uszu. Nie zadał też temu barczystemu, by-kowatemu policjantowi ani jed-nego pytania.

Po trzech kwadransach przewód zbliżał się już ku końcowi. Sędzia przeglądał jakieś teczki, zawierające akta następnych rozpraw, a pro-tokółant, skrzypiąc piórem, zapisy-wał ostatnie zdania z wynurzeń po-licjanta.

Trzej chłopci obecni na sali pa-trzeli obojętnie na sędziego, to-na kuzyna, który miał oczy spuszczone ku ziemi i jakby znowu o-czyms medytował, nie mogąc się

wydostać poza krąg tego czegoś, co mu mocno utkwilo w mózgu.

Zapytałem cicho Pietrka, co się też dzieje z gospodarką, którą ten jego aresztowany kuzyn musiał po-rzucić. Okazało się, że wzięli tę gospodarkę pod wspólną opiekę trzech kuzyni, obecni właśnie na sali.

Wstaliśmy, bo sędzia wychodził już z protokołantem, ażeby przygo-tować w pokoju sędziowskim wy-rok. Aresztant pozostał pod opie-ką posterunkowego na swoim miejscu.

Jak wyjaśnił w międzyczasie wo-żny trzem kuzynom: „pan sędzia spieszy się dzisiaj i nawet nie ma co stąd wychodzić...” Kuzyni za przyzwoleniem posterunkowego zbliżyli się do aresztanta i stanęli nad nim, chórem wypowiadając pozdrowienia:

— Niech będzie pochwalony Je-zus Chrystus!

Aresztant podniósł oczy i rozja-snił się:

— A niech będzie pochwalony... A jak się tyż macie, Wiccu, Fran-ku, Józku? Jak się wam powodzi? — wypalił szybko.

— My niby względem tego, co zrobić z waszą gospodarką — roz-począł jeden z kuzynów.

— Z gospodarką? — zdziwił się aresztant.

— Ano tak, z gospodarką — po-wtórzył drugi kuzyn.

— Bo my niby zajęli się waszą ziemią — dodał wyjaśniająco trze-ci.

Staliśmy z Pietrkiem z boku, ob-serwując przebieg rozmowy.

Na wspomnienie o ziemi areszt-ant skrzywił się niecierpliwie, ale też zaraz poweselał i załopotał rękami z niezwykłym ożywieniem:

— A dyć weźcie se, moi kochani! Weźcie se wszystko! Nie krempuj-ta się niczym... Abo mi to źle tu-taj? Abo to ni mam co jeść? Kto by się tam teraz przejmował go-spodarzeniem...

Sędziemu spieszyło się najwi-doczniej — tak, jak to zapowiedział wożny — bo już był razem z pro-tokołantem za stołem sędziowskim. Kuzyni musieli przerwać rozmowę.

Wzmagający się gorąc i niewąt-pliwa jasność całej sprawy spowo-dowały, że na sali zapanowała w tej chwili atmosfera nieomal fami-liarna. Nie usiedliśmy po obwiesz-czeniu wożnego: „Wstać, sąd idzie!”, wszyscyśmy stali sami, bez napomnień wiedząc, że w ten spo-sób należy uszanować wyrok. Tyl-ko posterunkowy grzecznie podziw-gniął aresztanta i zwrócił mu uwa-gę na to, że teraz powinien słu-chać.

Sędzia w imieniu Rzeczypospoli-tej ogłaszał wyrok, opiewający na pięć miesięcy... Był to — wzięw-szy pod uwagę okoliczności lągo-dzące — wyrok z zawieszeniem i odliczeniem aresztu. Prócz tego o-skarżony winien był zapłacić jakąś

niepозorną sumę za splugawienie gnojówki munduru funkcjonar-iusza P.P.

Jowialny sędzia poszedł oskarżo-nemu najwyraźniej na rękę i po-naciągał nawet jego nieliczne wy-powiedzi. Uzasadnienie wyroku mówiło o „głębokiej depresji psy-chicznej, w jakiej oskarżony znaj-dował się krytycznego dnia”, o „wysokich odsetkach kredytowych” itp. rzeczach, które były na pew-no istotne w całokształcie sprawy, ale oskarżony o nich w ogóle nie wspominał.

Sędzia zdjął biret i jakby kieru-jąc się sympatią do podsądnego — cały czas zresztą postępował po ojcowsku — polecał teraz w spo-sób półprywatny posterunkowemu pełniącemu służbę:

— Zaprowadźcie go z powrotem do aresztu. Niech weźmie swoje ubranie i po południu może już iść do domu...

Pietrek skierował się w stronę kuzyna — podsądnego, aby się z nim ewentualnie umówić na wspólną drogę. Trzej inni kuzyni byli zde-zorientowani. Liczyli, że co naj-mniej wykopią jeszcze posadzone na tych dwu morgach ziemniaki, a tu masz: właścicieli morgów był wolny!

Posterunkowy ujął łagodnie pod-sądnego pod łokieć i chciał skiero-wać go w stronę wyjścia, kiedy ten odtrącając nagle Pietrka i wy-chodzącego wraz z sędzią protoko-lanta — runął sędziemu pod nogi: — Jak to?! Panie sędzio kocha-ny! Ojciec najdroższy. Jak to?! — wyciągnął ręce jak do modlitwy i chwytając dłoń sędziego zaczął ją okrywać pocałunkami.

— Jak to?! — krzyczał na cale gardło. — Panie sędzio, ojciec mój miły! Do domu?! Do domu?! A czy to mnie źle było?! A czy mi krzy-wda?...

Sędzia usiłował wyrwać rękę z dłoni klęczącego, a my skupieni dookoła, przglądaliśmy się z prze-rażeniem, jak z jego oczu kapąły wielkie, rzęście łzy...

Znalazło się natychmiast dwu czy trzech wożnych i pomogli po-sterunkowemu wyprowadzić pod-sądnego na korytarz, a stamtąd po schodach, przez ulicę, do niezbyt oddalonego od sądów aresztu. Szedł cały czas zawodząc i rozpa-czając, jak małe dziecko. Pokrzyw-dzony policjant ułotnił się gdzieś z sali i podobnie postąpiło trzech ku-zynów...

✱

Dopiero po chwili zrozumiałem treść zajścia.

Tu nie mogło być mowy o tym, że ten chłop stracił rozum. Praw-da była inna. „Wszystko działo się w i n n y c h w y m i a r a c h”.

Temu człowiekowi odebrano o-krucze szczęścia, który zdobył dzie-ki swojemu przestępstwu.

Andrzej Piwowarczyk

Z tomu opowiadań pt. „Rodowód”.



Rys. B. Kusak

— A wy, Franciszku, gdybyście sad mieli własny, to po pierwsze chłopak wasz nie potrzebowałby bobrować u innych, a po wtóre — zro-zumieliłbyście moje stanowisko.

Zebrani uważnie przysłuchiwali się sprzeczce: taka graika nie częs-to się zdarza. Tego nie zastąpi głośnik na ścianie.

Jadąc na budowę kanału widzia-łem Ciesielskiego ze szpadlem w rę-ku przed budynkiem GRN. Na budo-wie jednak zniknął nam z oczu.

Franciszek znacząco kiwał głową:

— O, „Mądrala” nie taki frajer.

Pokazał się soltysowi, że jest i pry-snął do domu!

Przydomek ten pozyskał Ciesielski za to, że rzeczywiście rozumem i sprytem wyróżniał się spośród innych gospodarzy we wsi.

Wiadomość o tym, że Ciesielski jest na drugim odcinku robót koło Włynanki przyjęto jak rewelację. Ludzie nie mogli wyjść z podziwu: „A jednak nasz „Mądrala” nie zwiął. Już on tam w tym wszystkim coś czuje, że chce się wykaazać...”

Ciesielski mówił do mnie, statecz-nie gestykulując:

— Trzy Zakowole: Radzyńska. Po-przeczna i Wschodnia mają tysiąc ha gruntów, a w tym 350 ha łąk. Ale jakie to łąki? Ja z trzech morgów zebrłem zaledwie 10 kwintali siana, które musiałem aż spod lasu wynosić na grzbiecie, bo wozem tu nie wje-

usypianiu wałów wzdłuż brzegów ka-nału i podniesieniu stanu wody wtedy, ponad łąkami, barki popłyną...

✱

Na skrócie drogi przy mostku za-trzymują się dwa auta ciężarowe. Przyjechały tu z odległego o 80 km Lublina wioząc kilkudziesięciu ro-botników z Dyrekcji Okręgowej PKP i z Lubelskiej Fabryki Maszyn Rol-niczych. Pytają, gdzie są roboty przy budowie kanału i czy tu w pobliżu jest sklep, gdzie można kupić coś do zjedzenia.

Ciesielski już jest tu. W lot pod-chwytuje okazję: — Macie z sobą szufle? — pyta.

Tamci są nieco zdziwieni: — Szu-fle?

— Tak, bo tam pracują w wodzie, a szpadami niewiele wskóra.

Miny przybyłych nieco rzędna, ale tylko na chwilę.

— Mamy i szufle.

— Dobrze byłoby, by jeden samo-chód został tutaj. To pokrzepiłoby na duchu chłopów. Ale szufle są po-trzebniejsze na tamtym odcinku. Pokażę wam drogę i do sklepiku i na budowę. Jedziemy.

Kruczek, Szaniawski i jeszcze pa-ru patrzy chwilę na Ciesielskiego, który gramoli się do szoferki.

Z czyichś ust pada — jak pecyna błota:

— Ot, „Mądrala”...

Jerzy Glaus

WIESŁAW BRUDZIŃSKI

Fraszki proza

Z MYŚLI DZIAŁACZA KULTURY

„Artos” zdobywa teksty za wszelką cenę, z wyjątkiem umówionej.

*

Niektórzy uważają za właściwe dowcipy na temat każdego dygnitarza — po jego ustąpieniu.

*

Dewoci woła człowieka zaprzędanego diabłu od takiego, który w diabła nie wierzy.

*

Niektórzy uważają, że masom podoba się to, co się nie podoba każdemu z osobna.

*

Literaci dzielą się głównie na piszących z życia i żyjących z pisaniami.



Rys. Maja Berezowska

Jeśli satyra ma mobilizować do gniewu czy wściekłości to w każdym razie nie tak, aby odbiorca wściekał się na sam jej widok.

IRENA TOMSKA

System yogów

Gdy padło nazwisko aktora Kotterby, gromadka rozleniwionych niedzielnych obiadem wczasowiczów ożywiła się.

— Widziałam go przed wojną w roli Hamleta. Był po prostu nadzwyczajny — rozmarzyła się jedna z pań.

— A ja pamiętam go z wakacji nad morzem. Znakomity pływak — stwierdził ex-dyrektor.

— Świetnie grał w brydża.

— Porzucił dwie żony.

— A jak opowiadał dowcipy!

— Szkoda, że się tak postarzał. — Uważam, że dopiero teraz jest interesujący. Bardzo mu z tą siwizną do twarzy.

Na temat aktora Kotterby każdy z zebranych miał coś do powiedzenia. Każdy, prócz Walerego Jantałka, buchaltera z Kłodzka, który nigdy się z Kotterbą nie zetknął, nigdy nawet o nim nie słyszał. A jednak właśnie Walery Jantałek w najbliższym czasie miał za sprawą Kotterby stać się nowym człowiekiem. Czasem dosłownie sekundy decydują o przełomie w życiu. Niewiele sekund potrzeba było inżynierowi Solarskiemu na wypowiedzenie następujących słów:

— Ja znalazłem Kotterbę w czasie okupacji. Był wówczas w bardzo złej formie psychicznej. Pomogłem mu wydobyć się z tej depresji. Jak

to zrobiłem? Systemem yogów. Po prostu kazałem mu powtarzać po kilkadziesiąt razy dziennie: „Jestem Antoni Kotterba! Jestem Antoni Kotterba! Ten, który miał wielką sławę! Ten, którego kochały kobiety! Ten, który osiągnął szczyty powodzenia! Jestem Antoni Kotterba! Jestem Antoni Kotterba!” Mówię państwu, po kilku dniach odzyskał równowagę duchową, humor, rozmach. Nie ma to jak system yogów!

Po wysłuchaniu tej kuskiej opowieści Walery Jantałek nie powiedział nic. Na to od następnego ranka zaczął powtarzać sobie:

„Jestem Walery Jantałek! Jestem Walery Jantałek!”

Pogromca kobiet!

Najpiękniejszy mężczyzna świata!

Najgenialniejszy umysł!

Najwybitniejszy poeta!

Jestem Walery Jantałek! Jestem Walery Jantałek!”

Odmawiał tę litanię dzień, drugi, trzeci. Odmawiał ją miesiąc, rok, lata. Czynił to z takim za-

amiętaniem, że nie krepując się ludzi, mówił swą magiczną formułą każdemu, kogo napotkał.

A rezultat? Rezultat mógłby być taki, że ludzie zaczęli unikać Walerego Jantałka. Że jego słuchacze sami popadli w depresję. Że uciekli od niego młoda i ładna żona.

Ponieważ jednak Walery Jantałek nie jest zmyśloną przeze mnie felietonową postacią, nie mam prawa fantazjować na jego temat, lecz muszę trzymać się faktów.

Faktem zaś jest, że Walery Jantałek, znany mi osobiście buchalter z Kłodzka, siłą sugestii zdołał przekonać swoje otoczenie, że jest pogromcą kobiet, najpiękniejszym mężczyzną świata, najgenialniejszym umysłem i najwybitniejszym poetą. Faktem jest, że cieszy się szacunkiem, zazdrością ludzką, miłością kobiet z piękną i młodą żoną na czele. Ze wiersze jego drukują niektóre pisma.

Jak to się mogło stać? Yogowie wiedzą.

Irena Tomaska

STANISŁAW JERZY LEC

Dziwi mnie nasze twory z teatralnej niwy.
Ja lubię teatr cieni. Lecz chiński, prawdziwy.

Dzień działacza kulturalnego

Rys. Ha-Ga

Godz. 8
Pisze referatGodz. 10
Wita Krakowiaków i GórallGodz. 11
Otwiera wystawGodz. 12
Wygłasza odczytGodz. 15
Czyta rękopisy nadesłane
na konkurs poetyckiGodz. 17
bierze udział w komisji
artystycznejGodz. 19
Zegna Krakowiaków i GórallGodz. 20
jedzie w terenGodz. 23
S n i

ROMAN SZYDLŃSKI

O operze hunajskiej



Rys. Fritz Dähn (NRD)

Prawie każdy poważniejszy ośrodek kulturalny w Chinach ma swoją własną operę, o specyficznej formie, tradycjach, repertuarze i sposobie inscenizacji oraz gry.

Wśród wielu odmian klasycznej opery chińskiej jedną z najstarszych i najpełniej ukształtowaną jest opera hunajska. Istnieje ona prawdopodobnie już około 2000 lat, choć są tacy, którzy twierdzą, że dłużej, i spory na ten temat toczą się między zwawcami. W repertuarze opery hunajskiej jest 550 dramatów, 60 z nich opracowano do tej pory dla potrzeb współczesnego widza i one to stanowią materiał, w którym wybierać mogą teatry opery hunajskiej w Cząngszu.

Ile ich jest? Przed wyzwoleniem były cztery, obecnie ilość ich podwoiła się. Ale w stolicy Hunanu zobaczyć można nie tylko przedstawienia opery miejskiej. Ten żywy ośrodek kulturalny ma również dwa teatry opery pekińskiej i dwa teatry opery szanghajskiej. Zupelnie inaczej niż przed wyzwoleniem potraktowana została dziś również miejscowa opera chińska „hua gu” („kwiat pszenicy”). Dawniej istniał w Cząngszu tylko jeden jej zespół. Nie miał własnej sali i występował jedynie w domach prywatnych w czasie uroczystości religijnych, rodzinnych, na weselach i przy innych tego rodzaju okazjach. Często wyjeżdżał

też w objazd na wieś. Dziś istnieje w Cząngszu cztery stałe teatry opery „hua gu”. Lud wszedł do sal teatralnych. A wśród ludu jest opera „kwiatu pszenicy” szczególnie popularna. Przemawia do niego prostym, zrozumiałym, chłopskim językiem. A przecież większość robotników i urzędników nowych Chin przybyła tak niedawno ze wsi...

W repertuarze „hua gu” jest 150 oper, z czego 50 opracowano już dla nowego widza, skracając je znacznie i silnie wydobywając społeczną treść, która zresztą zawsze w nich tkwiła.

Aby dać pełny obraz życia teatralnego Cząngsza trzeba jeszcze powiedzieć, że jego sale mieszczą około 14.000 widzów, że odbywają się tam co dzień dwa przedstawienia, a w niedziele trzy, że ilość aktorów, która nie przekraczała przed wyzwoleniem 600, doszła teraz do 1021. Rośnie stale poziom i frekwencja w teatrach stolicy Hunanu. W pierwszym półroczu roku 1951 — było na tych przedstawieniach 1.302.000 widzów, a w pierwszym półroczu 1953 — już blisko 1.800.000.

*

Sala teatralna — dość prymitywna. Mieści się w podwórzu okazałego domu i prowadzi do niej dość ciemna sień. Zwyczaj punktualnego przychodzenia do teatru nie wydaje się tutaj obowiązywać. Wprawdzie spóźniliśmy się trochę, ale sala wciąż nie jest jeszcze pełna i ciągle nadchodzą nowi widzowie, którzy swobodnie wchodzi w czasie przedstawienia. Ruch panuje na sali dość ożywiony. Ludzie rozmawiają, dzieci płaczą, widzowie wchodzi i wychodzą. Przed każdym krzesłem można zawiesić deseczkę z otworem na szklankę, gdzie stawia się herbatę. Posługacz dolewa do niej co pewien czas gorącej wody. Można też palić na widowni.

Stara opera hunajska, którą oglądamy na scenie, ma wyraźnie współczesny sens. Oto pewien dzielny rycerz postanawia zabić króla sąsiedniego państwa, które chce napadnąć na jego ojczyznę. W tym celu wybiera się na dwór swego wroga i prosi pewnego przestępcę politycznego, który znalazł azyl w jego kraju, aby ofiarował mu swą głowę, jako glej na dwór złego króla. W ten sposób pragnie nasz rycerz wyłumaczyć swoje przybycie: przywozi królowi głowę jego wroga. Staruszek godzi się na tę propozycję i podryza sobie dobrowlnie gardło. Inny staruszek popełnia również na scenie samobójstwo ze zgrozoty, że sprawy jego państwa tak źle stoją. Dzielny rycerz

dostaje się na dwór króla Czin, dociera po wielu perypetiach do samego monarchy, ale w ostatniej chwili pudłuje i nie zabija swego wroga, dając się złapać przez jego straż. Król Czin osobiście zabija dzielnego rycerza, oraz skazuje na śmierć generała wraz z całą rodziną, który odpowiedzialny jest za to,

wija się wśród ludu partyzantka, która wypędza z podbitego kraju wroga i uwalnia jeńców na chwilę przed ich powieszeniem. Sens opery jest zupełnie przejrzyisty. Mówi ona wyraźnie, że najbardziej bohaterские wysiłki oderwanych od ludu jednostek nie mogą dać rezultatu. Natomiast masowe

jak i później rodzimymi okupantami.

Poziom przedstawienia nie jest najwyższy. Aktorzy grają i śpiewają gorzej niż w Szanghaju czy w Handżu. Reżyseria nie wykazuje większej pomysłowości. Sceny są dość statyczne, upozowane, aktorzy mówią i śpiewają prawie wszystko twarzą do widowni, układ sytuacji scenicznej nie wnosi żadnego ożywienia i nie dynamizuje w dialogu. Ale i w tym przedstawieniu przeważają nad wadami zalety chińskiego teatru. Dotyczy to przede wszystkim pięknych tańców, kostiumów i dekoracji. Wszystkie sceny walk i bitew rozegrane są w znakomitym tempie, w formie porywających tańców. Dekoracje — nieco naiwne — malowane są na płótnie, jako prospekty pełne wdzięku i smaku kolorystycznego. Tak, jak we wszystkich chińskich teatrach, zmieniają się błyskawicznie. Nie ma w Hunanie żadnej obrotowej sceny, a przecież przerwy między poszczególnymi obrazami nie trwają dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Piękne są również kostiumy. Szczególnie bogate, malownicze jest stroje króla Czin (który zresztą najlepiej gra), jego dworaków i rycerzy.

Można też w tym przedstawieniu zobaczyć szereg typowych osobliwości chińskiego teatru. Jego konwencja jest tu może bardziej widoczna niż w większych miastach Chin, gdzie wyższy poziom techniki aktorskiej pozwala w sposób mniej dostrzegalny wykonywać pewne triki i lepiej maskować niedoskonałości wyposażenia sceny. I tak na przykład, kiedy bohater opery ma zabrać ze sobą odrąbaną głowę staruszka — podrzucają mu ją zza kulis. Głowa toczy się po scenie, wszyscy to widzą, lecz nikogo to nie razi. Widzowie chińscy przyzwyczajeni są do umowności swojego teatru. Kij z frendzlami oznacza tu, jak wszędzie konia, a kij z jednym frendzlem, lub z frendzlami na dwóch końcach — broń. Jeszcze jedna osobliwość teatru chińskiego jest w tym przedstawieniu jasna i zrozumiała. Postacie ujemne mają na twarzy maski, podkreślające zły charakter postaci. Wyróżnia się tu szczególnie maska króla Czin, który jako agresor i wróg pokoju ma budzić szczególną odrazę i nienawiść. Niektóre postacie nie noszą masek, lecz mają twarz pokrytą grubą warstwą różnokolorowych farb, które nadają im równie skutecznie antypatyczny wygląd.

Zaletą nowego opracowania opery jest znaczne jej skrócenie. Przed-



Rys. Fritz Dähn (NRD)

że dopuścił zamachowca przed jego oblicze. Następnie radosny taniec króla Czin i jego nałożnic. Teraz rusza król Czin na wojnę przeciw państwu, które wysłało na jego dwór owego nieszczęsnego rycerza. Jego wojska są liczniejsze i wojna zostaje przez niego wygrana. Lecz na tym nie koniec. Oto pod wodzą dzielnych generałów i oficerów roz-

wystąpienia kończą się zwycięstwem i najmocniejszy okupant nie może utrzymać się na dłuższą metę w kraju, jeśli wystąpi przeciwko niemu do walki cały lud. Można by powiedzieć, że opera ta jest pogłówną lekcją bezskuteczności terroru indywidualnego i wyjaśnieniem przyczyn zwycięstwa chińskich mas ludowych zarówno nad japońskimi

stawienie zaczyna się o 7 wieczorem i kończy się przed dziesiątą. Widać wyraźnie, że towarzysze chińscy liczą się z potrzebami czasu. Do teatru przychodzi dziś ludzie pracy, którzy go pełnym trudem nie mają siły, ani cierpliwości, aby spędzać tam długie godziny. Następnego rano pójdą znowu do fabryk, biur, sklepów i urzędów — trudno więc wymagać, aby siedzieli w teatrze w nieskończoność. Dawna przedrewolucyjna publiczność nie znała tych ograniczeń. Bogaci ludzie spędzali w operze całe dni, wychodzili, wchodzili i rozkoszowali się do woli kunstem aktorów, taneczy i śpiewaków. Treść utworu nie miała dla nich większego znaczenia, była to publiczność, której bardzo odpowiadał formalistyczny charakter przedstawień. Dziś kładzie się znacznie większy nacisk na ich treść, a forma musi być również dostosowana do wymagań nowego układu klasowego widowni.

Jedną dziedziną, której nie zreformowano jeszcze w hunajskiej operze jest muzyka. Brzmi ona wciąż jeszcze dość monotonicznie, trzymając się ściśle starych, tradycyjnych układów dźwiękowych. Jest bardzo głośna, operuje niewielką ilością instrumentów i głośnymi blaszanymi czynelami, które często zagłuszają tekst mówiony czy śpiewany przez aktorów. Towarzysze chińscy informują jednak, że i w tej dziedzinie podejmuje się dziś próby u-

Roman Szydlowski



Rys. Fritz Dähn (NRD)

Red-gigie Zespołu Adres redakcji Warszawa ul Wiejska 12 Telefon: Sekretariat 886-11, 824-11. — Red naczelny 679-38 Adres administracji Warszawa ul Wiejska 12, tel 853 30 Wydaje RSW „Prasa” Kolportaż PPK „Ruch”, Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12 tel 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł 460, kwartalnie 13 zł 80, półrocznie 27 zł 60, rocznie 55 zł 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejskie Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmują: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul Poznańska 38, konto PKO 1-111 5589, tel: 823-09 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.